

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

IMIE PANI MISJA

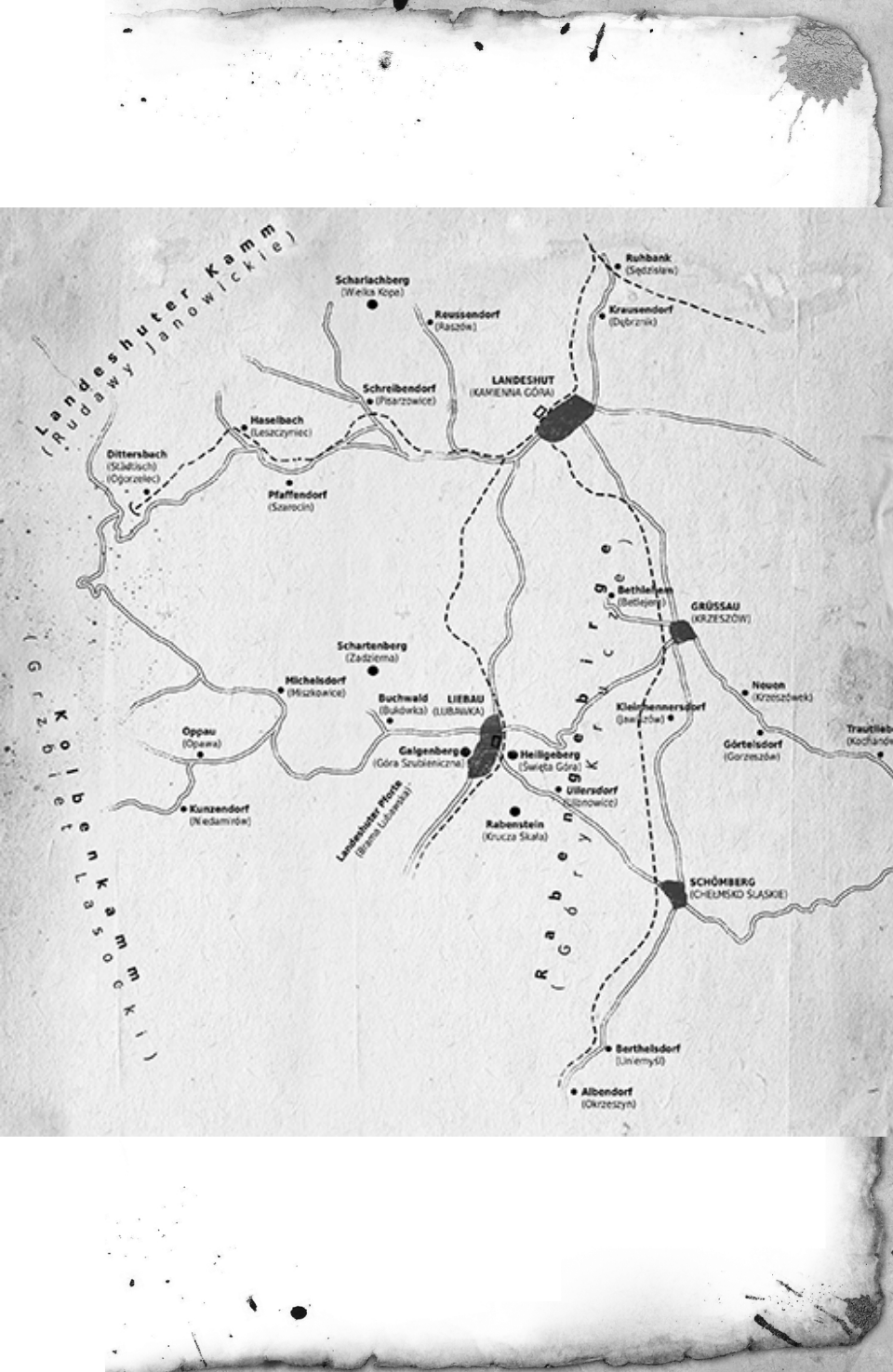
The background of the cover is a dark, atmospheric illustration. On the left, a perspective view of a long, vaulted tunnel with a series of arches recedes into the distance. On the right, a large, multi-story building with a prominent, ornate spire and clock tower stands in a square. The scene is lit with a warm, golden-yellow glow, suggesting a sunset or sunrise, with some birds flying in the dark sky above.

ZŁO czai się wszędzie
Także w ludzkich sercach

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

IMIE
PANI
MISJA

 MANUFAKTURA
TEKSTÓW



Landeshuter Kamm
(Rudawy Janowickie)

Scharlachberg
(Wielka Kopa)

Reussendorf
(Raszków)

Ruhbank
(Sopotów)

Krausendorf
(Dybrznik)

Schreibendorf
(Pisarzowice)

LANDESHUT
(KAMIENNA GÓRA)

Haselbach
(Leszczyniec)

Dittersbach
(Schlisch)
(Górzelec)

Pfaffendorf
(Szarocin)

Bethlehem
(Betlejem)

GRÜSSAU
(KRZESZÓW)

Schartenberg
(Zastoma)

Michelsdorf
(Miszkowice)

Buchwald
(Bukówka)

LIEBAU
(LUBAWKA)

Neuen
(Krzyszówek)

Oppau
(Opawa)

Galgenberg
(Góra Szubieniczna)

Heiligenberg
(Święta Góra)

Kleinheinersdorf
(Janiszów)

Görteleisdorf
(Górzelec)

Trautlieb
(Kosów)

Kuntzendorf
(Wiedamińce)

Landeshuter Platz
(Plac Łubawski)

Ullersdorf
(Lubowice)

Rabenstein
(Krucza Skala)

SCHÖBERG
(CIELMKO ŚLĄSKIE)

Berthelsdorf
(Lisimysł)

Albendorf
(Okreszyn)

KOPIE
(Górzelec)

R A D E B Y E R
(Rudawy Janowickie)

Redakcja i korekta
Marek Grzelka

Pomysł okładki
Krzysztof Koziółek
Projekt okładki
Kamil Pietruczynek
www.kamilpietruczynek.pl

Na okładce wykorzystano
archiwalne pocztówki ze zbiorów:
Marcina Gancarczyka (s. 1 oraz skrzydełko)
i Krystiana Michalika (s. 3).

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziółek 2021
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2021
www.manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
www.krzysztofkoziolok.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2021

ISBN 978-83-956315-3-5

*Bratu Łukaszowi
z wielkim podziękowaniem!*

*Ten, kto podąża za tłumem,
nigdy nie dojdzie dalej niż tłum.
Ten, kto podąża sam, znajdzie się w miejscu,
do którego nikt jeszcze wcześniej nie dotarł.*

Albert Einstein

Drogie Blogerki!
Drodzy Blogerzy!
Drogie Czytelniczki!
Drodzy Czytelnicy!

Stworzenie powieści z kluczem wymaga od jej autora wiele poświęcenia i ciężkiej pracy. Wszystko po to, aby ci, którzy będą ją czytać, dobrze się bawili podczas lektury.

Dlatego gorąco prosimy: uszanujcie to, i w swoich recenzjach, postach i komentarzach nie zamieszczajcie informacji, które innym potencjalnym Czytelnikom mogłyby zdradzić wątki istotne dla fabuły.

Prolog

Piątek 24 lipca 1936, Schlawa¹

Komisarz kryminalny Gustav Dewart sam był zaskoczony tym, że tak szybko wyczuł czyjąś obecność. Siedział nad brzegiem Schlawaer See² od ponad dwóch godzin, schowany między szuwarami wydającymi nieustanne szmery, tak więc dosłyszenie w tym szumie czyichś kroków było nie lada wyczynem.

– Nie straciłem formy. – Pogratulował sobie w duchu, po czym się odwrócił. – Walsleben, to pan?! – Nie dowierzał własnym oczom.

Starszy mistrz Felix Walsleben – na co dzień komendant żandarmerii powiatu Landeshut³ – potarł dłonią głowę łysą jak kolano.

– To ja, panie komisarzu kryminalny.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – Dewart wciąż nie mógł uwierzyć w to, co widzi. – To naprawdę pan?

– Aż tak chyba przez ten jeden rok się nie zmieniłem, co?

– Przez rok, sześć miesięcy i, nie przymierzając, dziewięć dni.

– Tak precyzyjnie pan komisarz kryminalny liczy?

– Liczę – potwierdził Dewart. – Bardzo dobrze czułem się w Grüssau⁴. Można by nawet powiedzieć, że mi tęskno.

¹ Sława. Pełny indeks nazw topograficznych znajduje się na ss. 420-424.

² Jezioro Sławskie.

³ Kamienna Góra.

⁴ Krzeszów koło Kamiennej Góry.

Walsleben chrząknął coś niezrozumiale.

– Naprawdę – mówił Dewart dalej. – Nawet wziąwszy pod uwagę ponure okoliczności mojego pobytu, które oplotły mnie niczym macki oślizgłej ośmiornicy.

– Przymknął oczy. Wrócił myślami do opactwa w Grünsau, które od pierwszego spojrzenia urzekło go spokojem mieszącym się z monumentalnym pięknem. Westchnął, potem podniósł powieki i spojrzał na żandarma, palcem dotykając wymownie skroni.

– Herr Obermeister, trochę się pan jednak zmienił...

Teraz to Walsleben przejechał opuszkami palców po boku swojego czoła.

– O tym pan mówi?

– Co się panu stało?

– To długa historia.

– Nie chce pan opowiadać, niech pan nie opowiada – uciał Dewart. – Pięknie tutaj, prawda? – Zatoczył ręką koło, pokazując na rozciągającą się przed nim taflę wody.

– Pięknie.

– Robi wrażenie, co?

Walsleben się nie odezwał, potaknął tylko energicznie. Jezioro Schlawaer See było największym akwenem na całym Śląsku. Miało powierzchnię 817 hektarów, długość jedenastu kilometrów, a szerokość od trzech do nawet czterech kilometrów. Właśnie z uwagi na imponujące rozmiary od dawna nazywano je Śląskim Morzem, niekiedy także używano określenia Największe Jezioro Śląska.

– Był pan tutaj kiedyś? – pytał Dewart dalej.

– Nie.

– Ja przyjeżdżam tu od lat. Kiedy byłem tutaj pierwszy raz, takich tłumów jeszcze nie było. Miasteczko rozwija się w niesamowitym tempie.

– Mówi pan to bez radości w głosie.

Komisarz kryminalny uśmiechnął się nieznacznie.

– Bo wolę wypoczynek w ciszy i spokoju. Coraz trudniej tu o to w sezonie.

Jakby na dowód tego z pobliskiej zatoczki wyłonił się statek wycieczkowy „Potsdam”, na pokładzie którego bawili się w najlepsze jacyś wycieczkowicze.

Uzdrowskowa kariera Schlawy rozpoczęła się dokładnie 16 września 1927 roku, kiedy hrabia Heinrich Karl von Haugwitz – właściciel majątku Schlawa-Pürschkau⁵ – udzielił zgody na wykorzystanie jeziora do celów turystycznych. Wiosną kolejnego roku prawa do tego wydzierżawił Paul Altmann, pochodzący z Polski optant⁶. Zainwestował spore fundusze w budowę potrzebnej infrastruktury. Postawił molo – pełniące jednocześnie funkcję pomostu dla trzech łodzi motorowych. Jedną z nich – „Potsdamem” – można było wybrać się na rejs wokół całego jeziora lub krótszą wycieczkę. Zagospodarował też plażę, nawożąc na nią 600 kubików piasku oraz stawiając 52 murowane kabiny kąpielowe. Wynajął również ratownika strzegącego bezpieczeństwa turystów, których plaża mogła pomieścić aż dwa tysiące. Te wszystkie inwestycje sprawiły, że Schlawa stała się zapleczem turystycznym nie tylko dla mieszkańców odległego o 30 kilometrów Glogau⁷, ale też mieszkańców innych części prowincji – włącznie

⁵ Sława-Przybyszów.

⁶ Osoba korzystająca z prawa do wyboru obywatelstwa.

⁷ Głogów.

z Breslau⁸ – a także gości z samego Berlina. Potencjał widziały też władze prowincji. W rozbudowę Schlawy oraz dwóch sąsiednich miejscowości położonych nad jeziorem: Laubegast i Rädchen⁹ – jako kurortu organizacji Kraft durch Freude¹⁰ – planowały zainwestować ogromne pieniądze.

Walsleben kolejny raz potarł łysą głowę, zastanawiając się, jak przejść do rzeczy. Na razie jednak niczego sensownego nie wymyślił.

– Skąd pan wiedział, że nadchodzę? – spytał.

– Nie wiedziałem, że to pan nadchodzi – odparł Dewart. – Ale wiedziałem, że ktoś idzie, bo poruszał się pan z gracją nosorożca. Poza tym wyprzedził pana zapach, mimo tego, że lekko wieje od wody. Woda kolońska?

– Tak.

– To chyba wylał pan na siebie pół wiadra! – Zaśmiał się radośnie.

– Nic z tych rzeczy – obruszył się Walsleben. – To nowy modny zapach prosto z Paryża.

Dewart wciągnął nosem powietrze. Wyczuł nutę palonego drewna. Tylko Francuzi mogli coś takiego wymyślić i jeszcze wmówić ludziom, że to najnowszy krzyk mody!

– Z Paryża? – cmoknął. – Żandarma stać na taki zbytek?

– Ta woda kolońska wcale nie jest jakoś bardzo droga. Poza tym, mężczyzna musi o siebie zadbać. W pewnych

⁸ Wrocław.

⁹ Lubogoszcz i Radzyń.

¹⁰ Siła przez radość – niemiecka nazistowska organizacja, której zadaniem było organizowanie masowych imprez turystycznych i sportowych dla obywateli III Rzeszy.

kręgach towarzyskich lepiej nie roztaczać wokół siebie woni knura. – Zarechotał.

Komisarz kryminalny poszedł w jego ślady i chwilę potem obaj zanosili się już śmiechem. Jako pierwszy opanował się Walsleben.

– Nie zapytał pan, jak pana tu znalazłem.

– No wie pan?! – Dewart udał urażonego. – Policjant kryminalny nie będzie przecież pytał o rzeczy oczywiste. Chyba, że chciał się pan pochwalić – dodał kąśliwie.

– Żadna ze mnie samochwała...

– Niech zgadnę: zadzwonił pan do mojej jednostki.

Walsleben potaknął.

– Tam panu powiedzieli, że przebywam tutaj na urlopie zdrowotnym.

Raz jeszcze kiwnął głową.

– A potem poszło już pewnie jak z płatka? – pytał Dewart dalej.

– Niekoniecznie... – skrzywił się. – Zmitrężyłem sporo czasu, żeby pana odnaleźć.

– W mieście działają dwa hotele i cztery gospody, nie licząc pojedynczych miejsc na kwaterach prywatnych. Ile to roboty dla dobrego wywiadowcy?

– Dwa hotele i cztery gospody? – Żandarm szybko policzył w pamięci. – To znaczy, że szczęście mi nie sprzyjało. Natrafiłem na pana dopiero w piątym lokalu!

– Zawsze mogło być gorzej! – Komisarz kryminalny zaśmiał się radośnie. – Od tego siedzenia nad wodą zrobiłem się głodny. A pan jadł coś w trakcie poszukiwań?

– Nic! – odpowiedział natychmiast. – Zeżarłbym konia z kopytami!

Dewart zaczął zwijać wędkę.

– Na plaży jest „Strandhaus”, to bardzo dobra jadłodajnia. Podają tam przepyszne dania ze świeżo złowionych ryb. Na co pan ma ochotę? Na suma, węgorza, sandacza, szczupaka, karpia, miętusa czy lina?

– Trudny wybór...

– Wiem! – Emocjonował się. – Czasami można zamówić pieczone raki. Spytamy, czy są dzisiaj.

– A pan komisarz kryminalny nic nie złowił?

– Moczę tylko kija dla przyjemności i odpoczynku. Zalecenie lekarza – wyjaśnił Dewart. – Ryby mnie nie interesują. To na co ma pan ochotę?

– Może byśmy jednak najpierw porozmawiali? – spytał Walsleben.

– Herr Obermeister, ma pan na myśli powód, dla którego pan się tutaj zjawiał?

– W rzeczy samej.

Komisarz kryminalny skierował się ku niemal niewidocznej ścieżce wydeptanej na skraju parku okalającego jezioro od strony miasta. Przystanął, odwrócił głowę, spojrzał na Walslebena.

– Czy jedna godzina coś w tej materii zmieni? – spytał.

Żandarm wzruszył tylko ramionami.

– Zatem najpierw żarcie, potem interesy – zawyrokował Dewart. – O pustym żołądku źle mi się prowadzi dysputy.

*

Klienci „Strandhausu” mieli do wyboru salę konsumpcyjną pod dachem lub stoliki ustawione przy plaży. Oba miejsca mogły pomieścić 250 osób, ale pora była wczesna i tłumów nie było – kilka par tańczyło na parkiecie

w takt muzyki wygrywanej przez orkiestrę, dużo więcej wybrało platformę taneczną unoszącą się na wodzie – policjanci mieli zatem możliwość swobodnej rozmowy.

Dewart od dłuższej chwili przyglądał się żandarmowi, który dłubał w miętusie, wyraźnie zbierając się w sobie, aby wreszcie przejść do sedna.

– Herr Kriminalkommissar, co pan tutaj robi? – spytał wreszcie.

Komisarz kryminalny uśmiechnął się w duchu. Skoro Walsleben wciąż unikał tematu, oznaczało to, że przyjechał z naprawdę ważną sprawą. Postanowił nie ułatwiać mu zadania.

– To samo, co tamten jegomość. – Pokazał palcem na samotnego mężczyznę siedzącego kilka stolików dalej, nieco starszego od niego i wpatrującego się w kajakarzy sunących po tafli jeziora. – Odpoczywam.

– Uhm. – W głosie Walslebena dało się wyczuć ironię.

– Koję nerwy.

– W tym hałasie wycieczkowiczów z Glogau i Berlina?

– Nie wytrzymał. – W drodze z dworca kolejowego spotkałem nadzwyczaj rozwrzeszczaną grupę turystów...

– W centrum miasteczka może i jest głośno. Ale nie tutaj, przynajmniej nie o tej porze. Tu naprawdę można się uspokoić. Niekiedy aż za mocno...

Żandarm wyczuł korzystny moment i nie wahał się już ani chwili.

– Brakuje panu komisarzowi kryminalnemu napięcia znanego z pracy?

– Nie tylko ja koję nerwy. – Dewart zignorował pytanie. – Wie pan, kto to jest? – Kiwnął na tego samego mężczyznę. – Ludwig Manfred Lommel.

– Ten kabaretysta z audycji radiowych? – zdziwił się.
– Ten sam – potwierdził. – Przyjeżdża tu na polowania.

– Herr Kriminalkommissar – Walsleben przyjął poważny ton – wymiguje się pan od odpowiedzi na moje pytanie. Spytam raz jeszcze: brakuje panu pracy policjanta kryminalnego?

– A co to ma do rzeczy? – Świetnie się bawił kosztem żandarma i nie zamierzał przestawać.

Walsleben też nie planował odpuszczać.

– Po wyjeździe z Grüssau nie wrócił pan komisarz kryminalny do służby?

– Wróciłem. – Wzruszył ramionami. – Ale miesiąc temu obiliśmy gębę pewnemu kryminaliście. Na mój pech okazało się, że to bratanek jakiegoś partyjnego bojownika o sprawę. Wie pan, wszędzie ich teraz pełno... – Westchnął. – Szefowi udało się uratować mnie przed wylaniem z roboty, ale na jakiś czas musiałem zniknąć z pola widzenia. Wziąłem urlop dla poratowania zdrowia i wylądowałem tutaj. Miejsce jest cudne, ale ile można z kijem siedzieć nad wodą?

– Czyli brakuje panu komisarzowi kryminalnemu porządnej policyjnej roboty?

Dewart potaknął.

– To dlaczego jeszcze pan nie zapytał, co mnie tutaj sprowadza? – spytał żandarm. – Siedzimy nad tymi rybami już od godziny.

– Przecież mi pan powie.

– Podziwiam pańską cierpliwość...

– W tym fachu jest ważna. To... – Dewart nagle zmarł. Przed oczami mignęła mu twarz żony, zaraz po-

tem córki, chwilę później obie zniknęły. Gdyby wtedy był bardziej cierpliwy! Choćby troszeczkę! Odrobinę!

– Wszystko w porządku? – Zaniepokoił się żandarm.

– Tak – skłamał. – Cierpliwość jest cnotą. Nie ma nic gorszego, niż być w gorącej wodzie kąpanym. – Nabrał głęboko powietrza, wypuścił je powoli. – Niech pan wreszcie mówi.

Walsleben zatarł dłonie.

– Alfons Dermuth, lat czterdzieści trzy – zaczął mówić. – Przedsiębiorca prowadzący rozliczne interesy na terenie całego powiatu. Członek śmietanki towarzyskiej w Liebau in Schlesien¹¹ i filantrop.

– Nie żyje?

– Znalezione go powieszono na miejscu dawnej szubienicy – wyjaśnił.

Dewart odłożył widelce.

– Policja kryminalna nie zajmuje się samobójstwami – powiedział nad wyraz spokojnie.

Walsleben milczał.

– Rozumiem... – Komisarz kryminalny przygryzł wargę. – To nie było samobójstwo?

– Oficjalnie śledztwo nie zostało jeszcze zamknięte.

– Ale jakaś makulatura została już wyprodukowana?

– Nie mam dostępu do kwitów.

– Jaka jest wiodąca hipoteza śledztwa? – dopytywał Dewart.

– Wiodąca hipoteza jest taka, że Dermuth się powiesił.

– Widział pan miejsce zdarzenia?

– Nie – odpowiedział Walsleben. – Ale moi ludzie byli tam pierwsi.

¹¹Lubawka. W dalszej części książki używana jest skrócona nazwa: Liebau.

– Jak to według nich wyglądało?
– Jak miejsce, w którym ktoś się powiesił.
– Ale panu coś nie daje spokoju...
– Powiedzmy, że intuicja.
– Intuicja... – szepnął Dewart. – Warto jej słuchać...
Ale trzeba też pamiętać, że nie zawsze to, co wydaje nam się, że widzimy, jest takie naprawdę. Czasem mylą się najtęzsze umysły i najbystrzejsze oczy.

– Chce pan powiedzieć, że przesadzam?
– Dlaczego mnie prosi pan o pomoc? – Komisarz kryminalny zmienił nagle temat. – Nie zna pan innego policjanta Kripo?

– Znam wielu, ale pan jest najlepszy.
– Przecenia pan moje zdolności. – Dewart uśmiechnął się nieznacznie.

– Podtrzymuję swoje zdanie.

Komisarz kryminalny spojrzał na niego powłóczyście.

– To jest pierwszy i ostatni raz – powiedział twardo.
– Pierwszy i ostatni raz? – Żandarm zmarszczył brwi.
– Nie rozumiem...

– To jest pierwszy i ostatni raz, kiedy mnie pan okłamał – wyjaśnił Dewart. – Kolejny sprawi, że przestaniemy ze sobą rozmawiać.

– Panie komisarzu kryminalny, uroczyście przyrzekam poprawę! – Zaśmiał się. – Nie jest pan z terenu powiatu. Nikt pana nie zna, nie licząc zakonników z Grüssau.

Dewart wbił spojrzenie w żandarma.

– Pomijanie całej prawdy też kwalifikuję jako kłamstwo – wycedził.

– Rozumiem... – rzekł Walsleben po krótkiej chwili.
– Prosiłem o pomoc znajomego policjanta, ale odmówił.

– A dlaczego pan?

– Ja? – Zdziwił się. – Co pan komisarz kryminalny ma na myśli?

– Dlaczego pan aż tak się w to angażuje?

– Powiedzmy, że ktoś bliski poprosił mnie o zbadanie tej sprawy.

– Ten ktoś bliski ma jakieś podejrzenia? – pytał Dewart dalej.

– Jedynie takie, że nie wierzy w to, żeby Dermuth targnął się na swoje życie.

– To mało.

– Mi wystarczy.

– Ten bliski, kto to jest?

– Żona denata.

– A jego dobrze pan znał?

Walsleben mimowolnie się skrzywił.

– O tyle, o ile – odpowiedział szybko.

– Wróćmy jeszcze do tego kolegi z policji.

– Tego, który mi odmówił?

– Właśnie. – Dewart wbił spojrzenie w żandarma.

– Jak mocno panu odmówił?

Walsleben wiedział, że to kolejny test i tym razem nie będzie już taryfy ulgowej.

– Powiedział wprost, żebym zostawił tę sprawę w spokoju. Dla własnego dobra i bezpieczeństwa.

– Ta sprawa jest śliska?

– Może taką być.

– Politycznie niepewna?

– Nie wiem – odparł żandarm. – Mówię szczerze.

– Co jeszcze mi pan powie?

Walsleben czuł, że test jeszcze się nie skończył.

– Herr Kriminalkommissar... – Wyraźnie szukał odpowiednich słów. – Mój nos żandarma podpowiada mi, że to może być trudna, karkołomna i niebezpieczna misja.

Dewart nic nie powiedział, spojrzął gdzieś w dal na jezioro.

– Przyjmie pan moją propozycję? – spytał Walsleben po chwili.

Komisarz kryminalny wciąż się nie odzywał.

– To jak? – naciskał żandarm.

Dewart popatrzył rozmówcy prosto w oczy.

– Mówi pan: niebezpieczna i karkołomna?

– Tak podpowiada mi intuicja.

– Intuicja w naszym fachu jest na wagę złota. Ja swoją bardzo sobie cenię.

– To jak?

– Niebezpieczna i karkołomna... – Komisarz kryminalny powiedział to bardziej do siebie. Zaraz potem uśmiechnął się nieznacznie. – Takie lubię najbardziej...

Nagle pokazał na niedokończoną rybę żandarma.

– Najadł się pan? – spytał po chwili.

– Więcej nie zmieszczę ani kawałeczka – odparł żandarm.

– Smakowało?

Zamiast odpowiedzieć, Walsleben poklepał się delikatnie po brzuchu.

Dewart wstał od stołu.

– W takim razie zbieramy się – rzekł.

– Zbieramy się? – spytał zdziwiony. – To znaczy, że mi pan pomoże?

– Ież można łowić ryby nad Śląskim Morzem? – Rozeźmiał się. Zaraz potem spowaźniał. – Jeśli to nie było samobójstwo, tylko morderstwo, czas gra dużą rolę. Nie możemy pozwolić, aby sprawca zatarł ślady, które mogłyby nas do niego doprowadzić.

Walsleben wbił widelec w kawałek ryby, wsunął go do ust, mlasnął.

– Niech się pan pośpieszy, na miłość boską! – rzucił Dewart, nie kryjąc irytacji. – Za godzinę odchodzi pociąg!

Rozdział 1

Piątek 24 lipca 1936, Liebau¹²

Śląska Kolej Górská prowadziła z Görlitz przez Lauban, Greiffenberg, Hirschberg im Riesengebirge oraz Ruhbank i dalej do Waldenburgu i Glatzu¹³. Jednym z wariantów, które rozważano podczas budowy, było poprowadzenie tej trasy przez Landeshut. Komisja Budowy Śląskiej Kolei Górskiej zrezygnowała jednak z niego z powodu trudnych warunków terenowych. Skutek był taki, że główna linia – zaprojektowana przez radcę budowlanego Karla Malberga – ominęła stolicę powiatu Landeshut. Tym samym całemu regionowi zabrakło impulsu do szybszego rozwoju przemysłowe-

¹² Dla przypomnienia: Lubawka.

¹³ Odpowiednio: Zgorzelec, Lubań, Gryfów Śląski, Jelenia Góra, Sędziszaw, Wałbrzych i Klodzko.

go, co przyniosło za sobą dalekosiężne negatywne skutki.

Główną linię Śląskiej Kolei Górskiej otwarto 15 sierpnia 1867 roku, ale już wcześniej – w styczniu tego samego roku – zaczęły się przygotowania do budowy południowego odgałęzienia mającego połączyć Ruhbank z Landeshut i Liebau. Niespełna dziewiętnastokilometrowy odcinek uruchomiono oficjalnie 29 grudnia 1869 roku jako pierwszą odnogę głównej nitki Śląskiej Kolei Górskiej prowadzącą do – także pierwszego – kolejowego przejścia granicznego między Prusami oraz Austrią i zlokalizowanego właśnie w Liebau.

Jednym z powodów, dla którego zdecydowano się na wybudowanie tego odgałęzienia, były względy militarne. Otóż podczas wojny z Austrią w 1866 roku armie pruskie część drogi ku granicy z garnizonów w Görlitz oraz Freiburgu in Schlesien¹⁴ musiały pokonywać na piechotę, co znacznie wydłużało operacje wojskowe. Sztab generalny nalegał więc na wybudowanie dodatkowego połączenia kolejowego wiodącego na południe od Landeshut. W efekcie uzyskano najkrótsze połączenie Breslau i dużej części prowincji dolnośląskiej z czeską Pragą.

Walsleben wysiadł właśnie w rodzinnym Landeshut, zaś komisarz kryminalny pojechał dalej, mając nadzieję, że żandarm dotrzyma słowa i telefonicznie zarezerwuje mu nocleg w „Hotelu Schmidt”. Mieli się spotkać naza jutrz, gdyż tego dnia było już zbyt późno, aby cokolwiek zdziałać w terenie. Pośpiech pośpiechem, ale Dewart zwykł policyjną robotę wykonywać metodycznie i bez

¹⁴ Świebodzice.

zbędnego zniecierpliwienia. Często wiązało się to z kąśliwymi uwagami ze strony przełożonych – szczególnie, jeśli śledztwo było niemal jednocześnie relacjonowane na łamach gazet – ale komisarz kryminalny i z takimi niedogodnościami potrafił sobie radzić pierwszorzędnie.

Kiedy pociąg zatrzymał się przed dworcem z szarego i żółtego piaskowca, Dewarta od razu uderzył jego ogrom. Bryła budynku – wykazująca cechy klasycyzmu – nie była może szczytem architektonicznego geniuszu, za to mocno nadrabiała wymiarami. Frontowa fasada liczyła sobie 130 metrów i 30 centymetrów długości, co sprawiało, że dworzec w Liebau był jednym z największych dworców w tej części Europy oraz drugim co do wielkości w prowincji dolnośląskiej – zaraz po tym w Breslau. Na trzech kondygnacjach wygospodarowano ponad 12 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. Spora część tego przeznaczona była na mieszkania dla obsługi stacji i pracowników utrzymania ruchu kolejowego.

Rozmach, z jakim wzniesiono dworzec, wynikał w głównej mierze z bliskości granicy państwowej: pełnił bowiem funkcję wspólnej stacji granicznej dla kolei pruskich i austriackich. Co za tym idzie, wybudowano tu osobne dla zarządów kolejowych obu państw parowozownie, oddzielne magazyny, a nawet sekcje torów.

Dewart zerknął na zegarek, był kwadrans na dziewięć – pociąg dotarł minutę przed czasem. Mimo to odczuwał jakiś dziwny niepokój. Guzdrał się z bagażami tak długo, że kilka minut później pociąg zdążył wyruszyć w drogę powrotną, a on wciąż tkwił na peronie.

Był też pozytywny aspekt opieszałości: widok, jaki pojawił się przed jego oczami. Najpierw dostrzegł przed sobą tory, ciągnące się niemal w nieskończoność. Od-ruchowo zaczął je rachować, doszedł do piętnastu, po czym dał sobie spokój, bo jego uwagę przykuło coś innego.

Podniósł wzrok wyżej i właśnie wtedy dostrzegł górujące nad stacją kolejową wzgórze – Heiligeberg¹⁵ – jakby wyrastające z ziemi tuż za ostatnim torem. Nie była to pionowa skała, ale niezbyt strome wzniesienie pokryte miejscami lasem. Jednak fakt, że różnica poziomów między nim a miejscem, w którym Dewart stał, wynosiła blisko 200 metrów, sprawiał, że góra przytłaczała wielkością.

Dopiero teraz do policjanta dotarł sens słów przeczytanych w ulotce reklamowej, jaką znalazł w pociągu i zrozumiał, co miał na myśli autor, pisząc o strategicznym znaczeniu kotliny, w której przed wiekami ulokowało się miasto, nazywanej Landeshuter Pforte¹⁶. Owe śródgórskie obniżenie terenu rozpościerało się między Rabengebirge a Kolbenkamm¹⁷. To ta droga, wiodąca z terenów dzisiejszej III Rzeszy do Czechosłowacji, od najdawniejszych czasów odgrywała istotną rolę polityczną. Tak było chociażby w kształtowaniu się Polski piastowskiej – historycy przypuszczali, że tędy wyprawę na Czechy w 1110 roku prowadził Bolesław Krzywousty – czy potem, wielokrotnie wpływając na przebieg konfliktów polsko-czeskich oraz austriacko-pruskich. Była też dobra strona tego medalu – przez ten sam piach,

¹⁵ Święta Góra.

¹⁶ Brama Lubawska.

¹⁷ Góry Krucze i Lasocki Grzbiet.

wzburzany stopami żołnierzy, brnęli też kupcy, jako że właśnie tędy od niepamiętnych czasów wiódł szlak handlowy łączący południe i północ Europy.

Dewart obrócił się na pięcie, dostrzegł niewielki kiosk skryty pod wiatą na pierwszym peronie, ciągnącą się wzdłuż całej ponadstumetrowej fasady dworca. Widząc, że obsługująca go kobieta zaczyna chować towar wystawiony na wąskiej półce, zebrał się w sobie.

– Poproszę najświeższe wydanie gazety – poprosił.

– Której, proszę szanownego pana?

– Miejscowej – odparł. Przyjeżdżając do nowego miasta, miał w zwyczaju kupować lokalną prasę, aby z artykułów dowiedzieć się choćby podstawowych rzeczy na temat tego, czym właśnie żyło.

Sprzedawczyni położyła na ladzie „Liebauer Wochenblatt”.

– Bardzo proszę – powiedziała. – Życzy pan sobie jeszcze coś? Może drożdżówkę?

W pierwszej chwili propozycja komisarza kryminalnego ucieszyła, ale gdy nad łakociami dostrzegł chmurę latających os, ochota momentalnie mu przeszła.

– Dziękuję – odparł grzecznie, płacąc za gazetę.

– A może pan szanowny chciałby nabyć wodę kolońską dla mężczyzn? – spytała, mając nadzieję, że przed zamknięciem kiosku jeszcze coś zarobi. – Proszę, niech pan powącha. – Otworzyła flakon.

Kiedy w nozdrza Dewarta uderzył zapach palonego drewna, zrobiło mu się niedobrze. To był dokładnie ten sam zapach, dzięki któremu tak szybko wyniuchał Walslebena. Żandarma czuć było na kilometr! Felixowi może taki fakt odpowiadał, ale jemu nie.

Podziękował raz jeszcze, tym razem nie siląc się na zbytnie uprzejmości, po czym przeszedł przez dworzec i stanął na placu zajęтым przez pomnik poległych. Kiedy zobaczył biegnącego w swoją stronę wyrostka, ucieszył się, będąc przekonany, że oto zjawił się wy-czekiwany boy hotelowy, który – jak zapewniał go wcześniej Walsleben – był do dyspozycji gości przy każdym przyjeździe i odjeździe pociągu.

– Proszę, oto ulotka reklamowa dla szanownego pana!
– zaszczebotał chłopiec, wyciągając przed siebie papierową torebkę.

Policjant odruchowo wziął podarunek, zanim jednak zdążył otworzyć usta, wyrostka już nie było. Zaklął w duchu, czując coraz większy głód, po czym zerknął na torebkę. Na jednej stronie widniał adres drogerii, na drugiej znajdowała się reklama wody kolońskiej.

Dewart nie miał pewności, czy była tą samą, którą wypchnął się Walsleben – i którą chciała mu wcisnąć kioskarka – ale i tak oblała go złość. Czy wszyscy mężczyźni w tym powiecie nic innego rankami nie robili, tylko psikali się najnowszym krzykiem mody z Paryża?

– Żeby jeszcze pachnieli inaczej niż palonym drewnem! – wrzasnął w myślach.

– Czy pan szanowny do „Hotelu Schmidt”?

Komisarz kryminalny dopiero teraz zauważył przed sobą młodzieńca kilka lat starszego od wyrostka, którego prezent tak go właśnie zdenerwował.

– Tak – odpowiedział machinalnie. – Pociąg przyjechał kwadrans temu.

Chłopak uklonił się nisko. Mało brakowało, a bujną czupryną zamiótłby piach z bruku.

– Najmocniej pana szanownego przepraszam za spóźnienie!

– Chodźmy już – rzucił Dewart niecierpliwie.

Boy chwycił za walizkę, ruszył przodem, nic nie mówiąc. Policjant też się nie odzywał, marzył tylko o kąpieli i wygodnym łóżku. Nawet głód przestał mu już doskwierać. Podejrzewał, że to za sprawą znużenia. Zawsze tak miał po długiej i wyczerpującej podróży pociągiem.

Kilka minut później minęli zajazd „Grüner Baum”, od razu skręcili w prawo i chwilę później byli już na rynku. Na tym odcinku Dewart był wolniejszy od boya, ten się zatrzymał, czekając na klienta.

– Idę za szybko dla pana szanownego? – spytał.

– Nie, tylko zasiedziałem się w pociągu i nogi mi zdrętwiały – skłamał gładko. Nie mógł przecież przyznać się smarkaczowi, że ostatnimi czasy zbyt sobie folgował przy posiłkach i właśnie były tego efekty. – Piękna rzeźba. – Zmienił temat, pokazując na figurę św. Jana Nepomucena stojącą przy narożniku ratusza.

W odpowiedzi chłopak uśmiechnął się niewyraźnie.

– Rzeźba jak rzeźba... – rzekł.

– Jej autor zadbał o najmniejsze detale... – Dewart nie krył podziwu, patrząc na lewą dłoń przytrzymującą ogromny krucyfiks. Mimo że zmrok zaczął już zapadać, widać było na niej nawet nabrzmiące od wysiłku żyły. Palec drugiej dłoni święty trzymał na ustach.

Komisarz kryminalny wiedział, co ten gest symbolizuje: tajemnicę spowiedzi Zofii Bawarskiej, której Jan Nepomucen nie zdradził jej mężowi – królowi Czech Wacławowi IV – podejrzewającemu małżonkę o nie-

wierność. Późniejszy święty popadł przez to w niełaskę władcy, a jakiś czas potem został uwięziony, torturowany i zrzucony z „Mostu Karola” do Wełtawy.

Jeszcze raz spojrzął na palec i w tej samej chwili po jego plecach spłynął nieprzyjemny dreszcz.

– Strażnik ciszy... – pomyślał i od razu się zafrasował. Liebau liczyło sobie około pięciu tysięcy mieszkańców, było więc miastem średniej wielkości, ale i tak mógł się założyć, że wszyscy wiedzieli tutaj wszystko o wszystkich. Z jego perspektywy problem polegał jednak na tym, że najczęściej ci najlepiej poinformowani niezbyt chętnie dzielili się informacjami z przybyszami z zewnątrz. A już szczególnie, jeśli mieli do czynienia z funkcjonariuszami policji kryminalnej.

To może być trudna, karkołomna i niebezpieczna misja.

Słowa Walslebena wybrzmiały w głowie komisarza kryminalnego głośnym echem. Nagle poczuł się śmiertelnie zmęczony.

– Daleko jeszcze? – spytał.

– Bynajmniej, panie szanowny. – Boy pokazał na karmienicę stojącą po przeciwnej stronie ratusza. – Jesteśmy prawie u celu.

– Idziemy! – zarządził, uważnie taksując wzrokiem otoczenie i zapamiętując jak najwięcej szczegółów, jak uczono go jeszcze na kursie policyjnym.

Fasada „Hotelu Schmidt” – jak to było w zwyczajnie w punktach usługowych – została wykorzystana do przyciągnięcia uwagi potencjalnych klientów. I tak lewą część parteru zajmowała reklama restauracji, prawa zaś oznajmiała gościom, że obiekt wyposażony

jest w centralne ogrzewanie oraz że prowadzona jest w nim wypożyczalnia samochodów.

Dewart skrętnie zanotował ten drugi fakt, jak też to, że kamienica w której mieścił się hotel, nie była przesadnie ubogacona detalami architektonicznymi. Można było powiedzieć, że właściwie jej jedyną ozdobą – i rzucającą się najbardziej w oczy – były dwa pilastry zwieńczone jońskimi głowicami oraz górujący nad nimi szczyt z dwoma niepozornymi maskaronami. To nadało jej pewnego rodzaju surowości, ale to komisarzowi kryminalnemu nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie. Hotel od razu przypadł mu go gustu.

Jedynym, co nie pasowało do obrazu, był wóz zaprzęgnięty w jednego konia, z woźnicą siedzącym na ławce, sprawiającym wrażenie śpiącego, i to głębokim snem, co rusz bowiem odchyłał się do tyłu tak mocno, że wydawało się, iż runie na siano za swoimi plecami.

Dewarta ten widok zaintrygował, ale był zbyt zmęczony, by zacząć boya wypytywać o szczegóły.

*

Pół godziny później – kiedy miał za sobą formalności meldunkowe oraz krótką, ale przyjemną kąpiel – myślał już tylko o tym, czy schodzić na kolację.

Podszedł do okna, chcąc je przymknąć. Zanim to zrobił, bezwiednie spojrzął w dół przed hotel, szukając wzrokiem woźnicy, ale miejsce, w którym wcześniej stał wóz z sianem, było puste. Nie wiedzieć czemu, poczuł się tym lekko zawiedziony.

Powiódł spojrzeniem w dal, przed sobą dostrzegł ratusz kryjący się coraz mocniej w zapadających ciemnościach. Zaczął mu się z uwagą przyglądać.

Od razu zauważył, że budynek – postawiony w 1726 roku w stylu klasycystycznym – nie znajdował się dokładnie w centrum rynku. Jeśli dobrze mu się przyjrzeć, było widać, że jest trochę przesunięty na wschód. Teraz spojrzął na smukłą neogotycką wieżę ratusza zakończoną strzelistym hełmem – postawioną w 1862 roku, przy okazji kapitalnego remontu obiektu i jego przebudowy.

Figura św. Jana Nepomucena skryła się już w mroku, ale czuł, że cały czas jest tam, gdzie zobaczył ją pierwszy raz.

To może być trudna, karkołomna i niebezpieczna misja.

Wzdrygnął się nerwowo.

Już miał przymknąć okno, kiedy jego uwagę przykuło coś jeszcze. Aż dziw, że nie zauważył tego wcześniej.

– Jakbym już się do tego widoku zdążył przyzwyczaić... – pomyślał. Jakby te trzy ostatnie lata sprawiły, że owo polityczne i społeczne trzęsienie ziemi, jakie spadło na ich kraj, przeszło niemal niezauważone. – Bo dla większości tak jest... – uświadomił sobie i poczuł złość, którą zaraz potem zastąpił smutek. Już teraz sam siebie łapał na tym, że często uważa na to, co mówi.

– Jeszcze kilka lat i trzeba będzie uważać na to, co się myśli... – westchnął.

Niejako na dowód tych słów dwie ogromne flagi ze swastykami załopotały na wietrze. Dewart nie mógł wiedzieć, że jedna z nich wisiała tu od marca 1933 roku, kiedy to burmistrza Josefa Schmitza – dopiero co wybranego na drugą dwunastoletnią kadencję – naziści

zmusili do wzięcia urlopu zdrowotnego i ustąpienia ze stanowiska. Wszystko przez to, że po ogłoszeniu styczniowych wyników wyborów do Reichstagu, wygranych przez NSDAP, sprzeciwił się wywieszeniu sztandarów narodowych socjalistów. Swoim postępowaniem Schmitz tak podpadł ludziom Hitlera, że w maju tamtego roku powołali nawet komisję śledczą, której zadaniem miało być zbadanie skarg i zarzutów wobec odsuniętego już od władzy burmistrza – oraz zwolnionych pracowników magistratu – głównie po to, aby pozbawić go należnych przywilejów emerytalnych. Rządy w mieście przejął wówczas Willi Sappke, wieloletni bojownik NSDAP. Najpierw został zarządcą komisarycznym, a w lipcu tamtego roku radni wybrali go na nowego burmistrza. Jedyne troje z nich zaprotestowało, opuszczając głosowanie, czwarty oddał głos nieważny.

Flagi załopotaly raz jeszcze, potem na moment zwisły, chwilę później znów zatrzepotały, targane wiatrem. Jakby nawet natura chciała wyrazić swoje poparcie dla nowych rządów.

Komisarz kryminalny zatrzasnął ze złością okno, ale zaraz potem je uchylił, doszedłszy do wniosku, że w nocy mogłoby się zrobić duszno. Jeszcze moment temu zastanawiał się nad kolacją, ale teraz, w jednej chwili, zrezygnował z niej. Nie miał ochoty schodzić do ludzi, widzieć kogokolwiek, choćby miał to być tylko kelner czy kucharz.

To może być trudna, karkołomna i niebezpieczna misja.

Zaklął w myślach, psiocząc na to, że znów dał się wmanewrować. Może jednak należało Walslebenowi odmówić?!

A może... A może jednak starszy mistrz się mylił i to będzie proste oraz łatwe śledztwo?

Bardzo by tego chciał.

Z tą myślą spojrział raz jeszcze w okno i zobaczył, że flagi przy ratuszu łopoczą jak oszalałe.

Wtedy już wiedział, że na korzystny wariant wydarzeń raczej nie ma co liczyć.

To może być trudna, karkołomna i niebezpieczna misja.

Kiedy kładł się do łóżka, słowa Walslebena cały czas tłukły mu się w głowie. Gdy zamykał oczy, ostatnią myślą była ta, że żandarm nie do końca dobrze ujął w słowa to, co tak naprawdę ich czekało.

Za to on już wiedział.

To będzie trudna, karkołomna i niebezpieczna misja.

Rozdział 2

Sobota 25 lipca 1936, Liebau

Obudziło go rzenie konia. Zerknął na uchylone okno i w myślach sklął własny brak przezorności, żeby nie powiedzieć: głupotę. Gdyby wieczorem okno jednak zamknął, mógłby pospać chwilę dłużej. Obrócił się na drugi bok, nakrył głowę poduszką i właśnie wtedy koń odezwał się drugi raz, ale już dużo głośniej.

Wściekły wstał z łóżka i podszedł do okna. Zanim je zamknął, w nozdrza uderzył go smród końskiego łajna.

Tego było już za wiele!

Założył marynarkę na pizamę i rzucił się pędem do wyjścia. Kiedy wybiegł przed hotel, zdążył się już

uspokoić na tyle, aby nie urządzać żadnej awantury. Spojrzał jedynie na woźnicę, który kiwał się tak samo, jak poprzedniego wieczora. Gdyby wczoraj przed pójściem spać na własne oczy nie widział pustego miejsca po wozie, byłby gotów przysiąc, że staruszek w ogóle się stąd nie ruszał.

Podszedł bliżej, stanął tak, żeby woźnica go zobaczył, ale jednocześnie zachowując bezpieczną odległość od tylnych nóg szkapę. Już miał otworzyć usta, aby zadać pytanie, gdy zobaczył, że mężczyzna wpatruje się w dal, a jego spojrzenie jest nieobecne.

Nie mając lepszego pomysłu, skierował się do recepcji i od razu przeszedł do sedna.

– Mógłbym zamienić pokój na inny? – spytał.

– A z tego pan szanowny nie jest zadowolony? – odparł recepcjonista.

– Byłbym, gdyby nie końskie rzenie budzące mnie o poranku i fetor gówna wdzierający się do pokoju – wyjaśnił Dewart z trudem nad sobą panując.

– Bardzo mi przykro, ale wszystkie pokoje są zajęte.

– A nie można woźnicy przepędzić kawałek dalej?

Recepcjonista chwilę zbierał się w sobie, po czym rzekł:

– Obawiam się, że jest to niemożliwe.

– Gdyż?!

– Alojz Dupke od wieków przyjeżdża na rynek swoim wozem i staje dokładnie w tym samym miejscu. Jeszcze parę lat temu z samego rana przywoził żonę, która sprzedawała płody rolne na małym straganie między hotelem i ratuszem, a potem wieczorem ją stąd odbierał. Któregoś razu potrącił ją automobil. Zabrali ją

do szpitala w Landeshut, ale zmarła. Wtedy biedakowi pomieszało się w głowie.

– I nadal tu przyjeżdża? – spytał Dewart.

– Tak.

– Codziennie?

– Nie – odparł recepcjonista. – Czasem jest pięć razy w tygodniu, kiedy indziej przez pół miesiąca bywa raz albo dwa. Za to zawsze zjawia się z samego rana, staje wozem w tym samym miejscu i rusza do domu dopiero, kiedy się ściemni.

– Rozmawia z kimś?

– Z nikim – wyjaśnił. – Czasem rzuci kilka słów do konia, tyle. Nie je, nie pije, tylko siedzi i patrzy przed siebie.

– Czeka na powrót małżonki...

– Tak, proszę szanownego pana.

– I nie macie wolnego pokoju? – Komisarz kryminalny zadał pytanie, właściwie nie licząc na pomyślną odpowiedź, zrobił to machinalnie.

– Niestety.

– Trudno – rzekł cicho, odwracając się w stronę sali restauracyjnej. – W takim razie zjem śniadanie.

– Proszę szanownego pana! – zawołał recepcjonista.

Dewart zatrzymał się w pół kroku.

– Tak?

– Piżama, proszę szanownego pana.

Dopiero teraz do komisarza kryminalnego dotarło, że pod marynarką wciąż ma na sobie nocną zmianę odzieży. Zaśmiał się gromko, po czym udał się do pokoju.

Kilka minut później wchodził już do sali. Jak się okazało, Walsleben czekał na niego, siedząc nad tatarem

śledziowym. Zdawszy się na gust żandarma, zamówił to samo.

– Wziął pan urlop, tak jak ustaliliśmy? – spytał, czekając na kelnera.

– Wziąłem – odparł Walsleben. – Rano dowiedziałem się jeszcze, że policja kryminalna zamknęła już śledztwo.

– Wiadomo coś jeszcze poza tym? – pytał komisarz kryminalny dalej. – Wyniki sekcji zwłok?

– Śledczy jej nie zarządzili.

– Czyli nie mają wątpliwości... – rzucił na głos, a w myślach dodał: – Albo nie chcą ich mieć.

– Na to wygląda.

Kelner przyniósł śledzia, Dewart zaczął konsumpcję.

– Gdzie go znaleźli? – spytał, kiedy już zaspokoił pierwszy głód.

– Na Galgenbergu¹⁸.

Komisarz kryminalny aż się zakrztusił.

– Lepszego miejsca na wieszanie sobie wybrać nie mógł – rzekł po dłuższej chwili.

– Wybrać? – Walsleben odłożył widelec z hukiem, po czym nachylił się nad stołem i wbił spojrzenie w policjanta. – Jeszcze nie dalej, jak wczoraj, kiedy żarliśmy miętusa, pan komisarz kryminalny zgodził się ze mną, że to nie było samobójstwo.

Dewart najpierw poczuł zapach czosnku, zaraz potem jego miejsce zajęła nuta palonego drewna.

– Po pierwsze, miętusa żarł pan, ja skosztowałem węgorka – zaczął mówić. – Dobry policjant jest precyzyjny bez względu na to, czego dotyczy sprawa, w jakiej się wysławia.

¹⁸ Obecnie funkcjonują nazwy: Góra Lubawa, Góra Wisielców i Góra Szubieniczna.

Żandarm niesłyszalnie zazgrzytał zębami.

– Po drugie – mówił komisarz kryminalny dalej – nie przypominam sobie, żebym zgodził się z pańską teorią, jakoby śmierć ofiary była następstwem udziału osób trzecich.

Tego było już dla Walslebena za dużo.

– Jesteśmy u Schmidta czy na odprawie komendanta powiatowego Kripo?

Dewart nie odpowiedział.

– Herr Kriminalkommissar, co mi pan tutaj pierdoli o udziale osób trzecich?! – krzyknął. – Kurwa, przecież ktoś tego Dermutha powiesił!

Jak spod ziemi obok nich wyrósł kelner.

– Panowie szanowni wybaczą, ale proszę kilka tonów ciszej.

– Bo co? – spytał Walsleben.

– Bo będę zmuszony panów wyprosić – rzekł kelner z naciskiem.

– Już nie szanownych?

– Na pieśszczoty trzeba sobie zasłużyć.

– Że jak? – Walsleben zerwał się krzesła.

Dewart chwycił go za rękę i posadził z powrotem.

– Siadaj pan! – warknął. Potem spojrzął na kelnera.

– Będziemy już cicho.

Kelner skinął głową niemal niezauważalnie, po czym zniknął tak nagle, jak się pojawił.

– Skąd ta nagła wolta? – spytał Walsleben, wolno cedząc słowa.

– Ochłonąłem – wyjaśnił Dewart. – Wczoraj niepotrzebnie dałem się ponieść pańskiemu entuzjazmowi oraz intuicji. Intuicja to rzecz dobra, ale własna, nie cudza.

– Nie pomoże mi pan?

Komisarz kryminalny otarł usta serwetką.

– Tego nie powiedziałem. Ja się najadłem, a pan?

W odpowiedzi żandarm odłożył sztucce na talerzyk, wstał od stołu.

– Nie zostawia pan napiwku? – zdziwił się Dewart.

– Po tym, jak kelner nas opierdolił?

– Nie mnie, tylko pana – zauważył kąśliwie. – Poza tym, taką ma robotę. Nie można człowieka winić za to, że mu się w lokalu awanturowało dwóch mundurowych.

Walsleben spojrział na komisarza kryminalnego ubranego w nienagannie skrojony garnitur, potem zerknął na swój, może nie tak doskonale uszyty, ale też całkiem przyzwoity.

– Nawet jeśli są po cywilnemu – doprecyzował Dewart, po czym odliczył kilka monet i rzucił je na blat.

*

Wzgórze, na które się wspinali, wznosiło się na wysokość 528 metrów i 40 centymetrów nad poziom morza i od wieków nazywane było Galgenbergiem. Niedgdyś na niewielkim wypłaszczeniu na jego szczycie stała szubienica studniowa. Jej dolna część została wymurowana na rzucie koła, resztę konstrukcji stanowiły trzy drewniane słupy połączone u góry belkami egzekucyjnymi, do których przywiązywano stryczki.

Do ścinania głów sądy miejskie zatrudniały zwykle katów. W zależności od umowy, mieli płacone za usługi co kwartał, pół roku albo rok – sądy ponosiły też koszty wynajmowania służbowego mieszkania. Katów się bano – czasami straszono nimi niesforne dzieci – ale ich sza-

nowano, jako że nie było zbyt wielu chętnych na piastowanie tak niewdzięcznej funkcji. Z racji tego bywali oni często – razem z rodziną – zwalniani z płacenia podatków i niektórych opłat. Otrzymywali też od miasta drewno na opał, a niekiedy także zboże lub ubrania, jako dodatkowe profity z odbywających się jarmarków.

Ostatnim znanym z imienia i nazwiska katem piastującym tę funkcję w Liebau był Johann Ernest Francke, zatrudniony dwukrotnie: w roku 1771 i 1788. Za drugim razem miał już mało pracy, jako że miejscową szubienicę ostatni raz wykorzystano 17 września 1782 roku: powieszono na niej Georga Meissnera oskarżonego o kradzież koni.

Kiedy tylko wyszli z hotelu, Dewart od razu zwrócił uwagę na chmury wiszące nisko nad miastem. Już wtedy było chłodno – dużo zimniej niż wczorajszego wieczora – a tutaj, na wzniesieniu, w większości pozbawionym drzew, zrobiło się jeszcze nieprzyjemniej.

Mimo to, jak gdyby nigdy nic, na szczycie zdjął z ramienia wiklinowy koszyk – pożyczony w hotelu – zaczął też rozkładać koc, załatwiony również dzięki uprzejmości recepcjonisty.

Widząc to, Walsleben zaczął przecierać oczy ze zdumienia.

– Pan chyba żartuje? – spytał. – Myślałem, że ten koc ma służyć panu jako okrycie. Piknik w takim miejscu i okolicznościach?

– Herr Obermeister, legenda! – wytłumaczył Dewart. – Legenda jest najważniejsza! Nie wiemy, czyje czujne oczy wpatrują się teraz w nas, może zza szkieł okularów lub jakiejś lornetki albo lunety. – Pokazał na miasto róż-

ciągające się między Galgenbergiem a Heiligebergiem.
– Jak wyszliśmy z hotelu, nawet się pan nie zająknął, po co mi takie akcesoria.

– Myślałem, że żandarmi nie powinni uczyć policyjnej roboty komisarzy kryminalnych – odparł z przekąsem, po czym zajrzał do koszyka. – Pusty? – Nie krył zawodu. – Mógł pan chociaż wsadzić ze dwa piwa.

– Sam pan mógł – odciął się momentalnie.

Walsleben mruknął coś niezrozumiale.

– Koniec przekomarzań – zawyrokował Dewart.
– Bierzemy się do roboty. Gdzie znaleziono wisielca?

Żandarm pokazał na stojący najbliżej nich klon. Poniżej niego rosło jeszcze kilka innych, ale dużo mniej okazałych.

– Jeśli przyjąć, że sam targnął się na życie, to chyba wiem, jaki przyświecał mu cel przy wyborze miejsca.

Walsleben nie odezwał się, słuchał w skupieniu.

– Można uznać, że w ten sposób chciał dodatkowo ukarać samego siebie – analizował Dewart na głos.

– Że niby zasłużył na to, aby wyzionąć ducha niczym jeden z kryminalistów, których wieszano tu przed wiekami.

Po tych słowach zapadła głucha cisza. Dopiero po długiej chwili przerwał ją żandarm.

– Tak pan komisarz kryminalny myśli?

– Gdzie tam! – Dewart machnął lekceważąco ręką.

– Bzdura wyssana z palca! Ale taką hipotezę należało postawić, choćby tylko po to, aby ją obalić.

– Zatem...

– Miejsca z pewnością nie wybrano przypadkowo. To była przemyślana decyzja. Chodziło o to, żeby wszy-

szy mieszkańcy Liebau widzieli, jak ciało dynda na tym konarze. – Dewart zadarł głowę, wpatrując się w dorodny klon. – Tak było przed wiekami, przecież nie bez powodu zlokalizowano szubienicę właśnie tutaj. Możemy śmiało przyjąć, że tak, jak wówczas Galgenberg pełnił funkcję edukacyjną, tak było i teraz.

– I myśli pan, że ci, którzy Dermutha powiesili, też chcieli uzyskać taki efekt?

– Można by tak domniemywać.

– Domniemywać? – zdziwił się Walsleben.

– Pewności brak, bo wciąż nie mamy dowodów na to, że Dermuthowi ktoś pomógł.

Nagle z nieba zaczęło siąpić, jednak komisarz kryminalny jakby tego nie zauważył. Zaczął spacerować między drzewami, przedzierać się przez sąsiednie chaszczki, wreszcie wpadł w jakąś dziurę.

– Szlag by to trafił... – zaklął, gramoląc się z powrotem. – To było to drzewo? – Raz jeszcze pokazał na najgrubsze drzewo na szczycie.

– Tak – potwierdził Walsleben.

– Jest pan pewien?

– Jestem – odrzekł. – Poza tym widać jeszcze świeży ślad po sznurze.

– Ach tak... – rzekł Dewart, zaczął chodzić od tego klona do sąsiedniego, potem do następnego i kolejnych, uważnie przyglądając się ich pniom.

Tymczasem Walsleben leżał na kocu, przypatrując się poczynaniom kolegi, co chwilę ocierając twarz.

– Herr Kriminalkommissar, nie wiem, czy pan zauważył, ale zaczęło padać. Długo jeszcze będzie się pan bawić w specjalistę od drzew?

W odpowiedzi Dewart się skrzywił.

– Dendrolog, tak się to fachowo nazywa – zauważył ironicznie. – I, po pierwsze, nie bawię się w niego. Po drugie, w ogóle się nie bawię.

– A co pan komisarz kryminalny robi?

– Wykonuję ciężką policyjną robotę.

Żandarm zerwał źdźbło trawy, wsunął do ust.

– To zupełnie tak, jak ja.

W tym momencie deszcz się wzmógł.

– Nici z pańskiego pikniku – rzekł Walsleben uszczypliwie. – Najwyraźniej niebiosa dorabianie legend policyjnych mają w nosie. Zbierajmy się.

– O tym, kiedy będziemy się zbierać, ja decyduję – rzucił twardo. Zdjął marynarkę, powiesił ją na gałęzi największego klonu, po czym podszedł do jednego z mniejszych drzew i zaczął się na nie wspinać.

– Jeśli ktoś obserwuje nas przez tę pańską lunetę, to zaraz wezwie policyjną karetkę, co by nas odwiozła do szpitala dla idiotów. – Żandarm bawił się w najlepsze.

Komisarz kryminalny tylko wyszczerzył zęby.

– Herr Obermeister, jak pan chce, to pan z nimi pojedzie – odciął się.

Walsleben zmełł w ustach przekleństwo, pocierając przy tym dłonią po mokrym karku. Tymczasem Dewart sprawnie zeskoczył na ziemię, założył marynarkę, potem zaczął składać koc.

– Zbieramy się – rzekł po chwili.

– Zmarnowaliśmy tylko czas i nerwy.

– Nerwy może i zmarnowaliśmy, szczególnie pańskie – odparował komisarz kryminalny. – Ale czasu nie.

Co chciałem ustalić, to ustaliłem.

Walsleben w jednej chwili przestał zwracać uwagę na coraz większe krople deszczu wpadające za kołnierz.

– Wyjaśni mi pan, czy mam czekać w nieskończoność?

– Wyjaśnię, jak coś zjem. – Komisarz kryminalny uśmiechnął się delikatnie. – Za to jedno mogę panu zdradzić.

Żandarm spojrział na niego z wyczekiwaniem.

– Już wiem, że to nie było samobójstwo – powiedział Dewart z naciskiem.

Rozdział 3

Sobota 25 lipca 1936, Liebau

Walsleben miał za złe Dewartowi, że ten nie chciałjechać na Galgenberg służbowym automobilem żandarma – wysłużonym BMW 3/15 nazywanym też „Dixi” – przez co zmokli jak kury, ale postanowił nie wylewać na niego żalów. Kiedy zbiegali ze wzgórza, chciał tylko schować się pod dachem, wysuszyć trochę łachy i oczywiście dowiedzieć się wreszcie, co Dewart ustalił tam, na górze.

A gdyby jeszcze udało się coś zjeść, byłby wniebowzięty. Właśnie dlatego zaproponował, aby schronienia szukać na terenie dawnej fabryki celulozy, u swojego dalekiego kuzyna. Nie tyle chodziło mu o wizytę u dawno niewidzianej rodziny, co bardziej o kulinarną zręczność pani domu.

Fabrykę celulozy – a właściwie pulpy drzewnej – 27 sierpnia 1885 roku założył Leo Gottstein, człowiek,

który co prawda zaczął studiować anatomię porównawczą, ale potem pochłonęła go chemia i to w tej dziedzinie zrobił doktorat w Strasburgu. Przedsiębiorstwo uruchomił w miejscu dawnego młyna „Feldmühle¹⁹” należącego niegdyś – aż do kasaty klasztoru w 1810 roku – do cystersów z Grüssau. Początkowo nosiło nazwę „Schlesische Sulfit-Cellulose-Fabrik Feldmühle” i zaczęło pracę z niewielkim kapitałem wynoszącym zaledwie 360 tysięcy marek. Fabryka zaczęła się szybko rozwijać i nieco ponad dziesięć lat później jej kapitał wynosił już cztery miliony marek, a właściciele zaczęli zakładać kolejne oddziały w innych miastach kraju, potem doszło też do fuzji z innymi zakładami.

Budowa siedziby w Liebau trwała rok – w tym czasie dawny młyn przerobiono na biura i mieszkania – a tworzony tu produkt zaczął zyskiwać dobrą opinię w papierniach położonych nie tylko w Niemczech, ale także poza granicami kraju, nawet w odległej Ameryce. Wszystko wskazywało na to, że fabryka będzie się dalej rozwijać i rozrastać, niestety na drodze stanęły warunki terenowe. Główną przeszkodą było zlokalizowanie zakładu w górnym odcinku rzeki, przez co wody w niej było zdecydowanie za mało na potrzeby rozcieńczania ścieków produkcyjnych.

Zarząd celulozowni próbował ratować sytuację, wykorzystując coraz to nowe techniki klarowania ich i oczyszczania – w niektórych przypadkach stając się nawet pionierem – bezskutecznie. Efektem była jedynie strata czasu i pieniędzy, co zaczęło zagrażać rentowno-

¹⁹ Znajdował się w rejonie obecnej ul. Karkonoskiej (przy skrzyżowaniu z Cmentarną).

ści firmy. To spowodowało, że właściciele „Feldmühle” musieli szukać lepszych lokalizacji. Fabryka w Liebau przestała się rozwijać, niedługo potem zaczęła tracić na znaczeniu, aż wreszcie jej jedynym śladem stała się restauracja o tej samej nazwie. W końcu jednak – jakby na ironię losu – i ona zaprzestała działalności.

Teraz jedno z bardziej przestronnych mieszkań zajmowała rodzina żandarma. Gospodyni przyjęła gości życzliwie, dała im ręczniki do wysuszenia głów, zaprosiła też do stołu, na który zaraz potem postawiła garnek z parującym jedzeniem.

– Smacznego.

Klara Ende nałożyła obu mężczyznom okazałe porcje, po czym zaczęła im się przypatrywać.

Dewart nie był w ciemię bity, doskonale wiedział, że pracę kucharki dobrze jest pochwalić nawet wówczas, kiedy efekt końcowy pozostawia wiele do życzenia. W tym przypadku sprawa była o tyle prostsza, że jedzenie wprost rozplywało się w gębie.

– Smakowitości! – rzekł, nie kryjąc uznania. – Można wiedzieć, co to takiego?

Kobieta uśmiechnęła się, zaraz potem jednak spoważniała i wbiła spojrzenie w kuchynię.

– Jak ją znam, to Klara zasmuciła się brakiem pieczysteego – rzekł Walsleben.

– No bo kto to widział, żeby gości częstować Eintopfem? – potwierdziła smutno. – Taki obiad to można mężowi i dzieciom postawić...

– My wcale nie lepsi od męża i dzieci – zaprotestował Dewart. – A potrawa smaczniejsza niż w niejednej restauracji.

Klarze Ende tylko tego trzeba było. Pokraśniała od razu, mars z twarzy zniknął bezpowrotnie.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, co to za niebo w gębie miałem? – Komisarz kryminalny dogadzał dalej, przygotowując odpowiednio grunt do dalszych czynności.

– „Liegnitzer Schmorgurken²⁰”, panie komisarzu kryminalny – wyjaśniła Klara Ende radośnie. – Czyli gulasz jagnięcy z warzywami pływającymi w sosie. Można dać do niego zielone ogórki lub kiszone. A zamiast jagnięciny może być baranina.

Dewart nabrał łyżką ostatnią porcję, zjadł, otarł usta ręcznikiem.

– Przepyszne.

– Bardzo się cieszę, że komisarzowi kryminalnemu smakowało – rzekła Klara Ende.

– Mnie też smakowało – wtrącił Walsleben.

– Tobie, kuzynie, wszystko smakuje, byle w garze trochę mięsa pływało. – Zaśmiała się radośnie. – A pan komisarz kryminalny to gość z zupełnie innego świata!

– Z takiego samego świata jak pani i starszy mistrz – zaprotestował Dewart. Zrobił krótką pauzę, po czym przeszedł do rzeczy. – Jak z kuzynem wchodziliśmy do kuchni, w pokoju obok zauważyłem krosno. Pracuje pani na nim wieczorami?

– Wieczorami i w nocy – odpowiedziała.

– A w tę noc, kiedy Alfons Dermuth się powiesił, też pani tkła?

Kobieta przeżegnała się bojaźliwie, spojrzała na policjanta i odparła:

– Pracowałam.

²⁰ „Legnickie ogórki duszone”.

- Do późna? – pytał Dewart dalej.
- Do późna.
- Okno pokoju wychodzi na Galgenberg... Stąd jest spory kawałek, ale... – Wstrzymał na chwilę głos.
- Czy widziała pani tamtej nocy coś dziwnego?
Gospodyni zamknęła oczy, jeszcze raz się zegnając.
- Co pani widziała? – spytał komisarz kryminalny łagodnie.
- Świątełka.
- Świątełka? – Zamyślił się. – Takie, jakby ktoś włączył na chwilę latarkę?
Potrząsnęła nerwowo głową.
- Tak – potwierdziła.
- Było więcej niż jedno światełko?
- Dwa albo trzy. Z tej odległości dobrze nie widać.
- Dewart spojrział na nią bacznie.
- Ale na pewno nie jedno? – spytał.
- Na pewno.
- Dziękuję – rzekł komisarz kryminalny ciepło. – Bardzo mi pani i kuzynowi pomogła. Ale proszę na razie, żeby ta rozmowa została między nami, dobrze?
- Oczywiście! – zapewniła.
- Czy policja panią wypytywała?
- Nie – zaprzeczyła. – Czy to już wszystko?
- Tak – potwierdził.
- To panowie wybaczą, ale namoczyłam pranie.
- Oczywiście – powiedział Dewart. – Proszę wracać do swoich obowiązków.
- Kiedy Klara Ende wyszła z mieszkania, Walsleben od razu zaczął mówić.
- Skąd pan wiedział?

– Że biegali z latarkami? – upewnił się komisarz kryminalny.

Żandarm potaknął gwałtownie.

– Wie pan, po co bawiłem się tam u góry w dendrologa? – Pytanie Dewarta zawisło w próżni. – Bo zauważyłem, że niektóre konary tych mniejszych drzew są świeżo połamane. – Sam sobie odpowiedział. – Ktoś je usunął, żeby nie zasłaniały wisielca. Ale! – Podniósł palec. – Powinnyśmy wziąć pod uwagę inną wersję, że Dermuth sam to zrobił. Najpierw ściął konary zasłaniające widok, potem się powiesił.

– Po co?

– Żeby go było widać – wytłumaczył. – Ale wtedy pani Klara widziałaaby jedno światełko. Skoro widziała ich więcej, był tam ktoś jeszcze. Podejrzewam nawet, że kiedy pańska kuzynka dostrzegła światło latarek, Dermuth już dogorywał. Ci, którzy go zamordowali, najpierw go powiesili, a dopiero potem obcięli przeszkadzające gałęzie. Dzięki temu wcześniej od strony miasta nie było ich tak dobrze widać.

– Ze strony miasta nie, ale stąd już tak – zauważył Walsleben radośnie.

– Wszystkich stron świata nie mogli zabezpieczyć. Ale to nie wszystko – rzucił Dewart. – Ślady na pniach są doskonale widoczne. Ludzie z powiatowego Kripo powinni je znaleźć bez problemu.

– Ale nie znaleźli.

– Myślę, że znaleźli, tylko z jakiegoś powodu je zignorowali.

– Równie dobrze sprawcy mogli zostawić gałęzie w spokoju i nie ryzykować – zauważył Walsleben.

– Widocznie z jakiegoś powodu podjęli takie ryzyko.
– Ma pan koncept, z jakiego?
– Mam – odparł Dewart. – Chcieli, żeby komunikat był jeszcze lepiej widoczny. Coś jak lekcja.

– Ale dla kogo?

– To pan powinien wiedzieć najlepiej. – Odbił piłeczkę. – To w końcu pański rewir. Pan zna tutejszych mieszkańców. Pan powinien wiedzieć, jakie zło czai się w tych z pozoru niewinnych duszyczkach.

– Zwykle siedzę w Landeshut – skwitował żandarm kwaśno. – Liebau to zupełnie inny posterunek.

– A tutejsi żandarmi?

– Nie ufam im.

– A jest ktoś, komu pan ufa?

– Pan – odpowiedział bez wahania.

– Czuję się zaszczycony. – Po tonie głosu Dewarta trudno było poznać, czy mówi poważnie, czy też pozwala sobie na lekką kpinę.

Walsleben na wszelki wypadek powstrzymał się od komentarza.

– Wiemy już trochę więcej, ale wciąż mało – powiedział Dewart. – Za to jedno napawa mnie niepokojem.

– Ukręcenie łba śledztwu przez policję?

– To oznacza, że możemy liczyć tylko na siebie, a nasza misja zaczyna nabierać jeszcze bardziej zakulisowego charakteru. Musimy także mieć oczy dookoła głowy.

– To zrozumiałe.

– Zastanawiam się też, jak w takich okolicznościach, do tego działając nieoficjalnie, zdobędziemy jakiegolwiek informacje? Tylko czekać, aż ktoś z Landeshut się o tym dowie i będziemy się mieli z pyszna.

– Raczej ja – sprostował Walsleben bezwiednie. – Pan komisarz kryminalny nie jest stąd. Pana tak opierdalać nie będą, jak mnie.

– To się jeszcze okaże.

Rozdział 4

Niedziela 26 lipca 1936, Liebau-Ullersdorf²¹

Po tym, jak przemokli na Galgenbergu do suchej nitki, wrócili do centrum miasta. Walsleben pożyczył ubranie od jednego z żandarmów, Dewart przebrał się w hotelu. Potem spotkali się jeszcze z miejscowym lekarzem, którego policja wezwała do oględzin zwłok – ale nie wniósł do sprawy nic nowego – i przedsiębiorcą pogrzebowym. Komisarz kryminalny chciał jeszcze porozmawiać z wdową po zmarłym, ale akurat nie było jej w domu. Udało się za to spotkać z księdzem katolickim. Ta wizyta przyniosła mały sukces, policjanci dowiedzieli się bowiem, że w poprzednią niedzielę Alfons Dermuth zamiast własnej parafii, odwiedził kościół Czternastu Wspomożycieli w Ullersdorfie.

A ponieważ tej niedzieli miał być tam odpust ku czci św. Krzysztofa, Dewart postanowił wykorzystać okazję do wtopienia się w tłum. Liczył przy tym, że uda się zasięgnąć języka i dowiedzieć czegoś więcej o ofierze.

*

Ullersdorf jeszcze nie tak dawno był oddzielną miejscowością, w tym roku został jednak przyłączony do Liebau – podobnie jak wieś Dittersbach²² położona

²¹ Ullersdorf – Ulanowice (także: Podlesie) obecnie dzielnica Lubawki.

²² Podgórze lub Jurkowice, obecnie dzielnica Lubawki.

za południowymi rogatkami miasta. Niespełna dwa tuziny domów rozciągniętych było na przełęczy ciągnącej się pomiędzy kilkoma wzgórzami, między innymi Heiligebergiem, Rabensteinem i Scholzenbergiem²³. U podnóża tego ostatniego stał dumnie kościół Czternastu Wspomożycieli, czyli świętych, których wstawienictwo zdaniem kościoła katolickiego było najbardziej skuteczne, szczególnie w przypadku chorób i zaraz.

Pierwszą świątynię w tym miejscu wybudowano w latach 1685-1687 – pod nadzorem mistrza budowlanego Michaela Jentscha pochodzącego z pobliskiego Johnsdorfu²⁴ – na zlecenie opata Bernarda Rosy, który w ten sposób chciał rozszerzać kult pielgrzymkowy poza sąsiednie Grüssau.

W czasach świetności do majątku cystersów należały dwa miasta – Liebau i Schömborg – oraz czterdzieści dwie wsie i osiemnaście folwarków, a wszystko to rozciągało się na powierzchni trzydziestu tysięcy hektarów. Rosa był jednym z tych opatów, którzy odcisnęli – w pozytywnym tego słowa znaczeniu – największe piętno na tych terenach. Jednym z jego pomysłów było wytyczenie trasy pielgrzymkowej dla pątników między Ullersdorfem i Grüssau i ustawienie przy niej czternastu kolumn z posągami świętych Wspomożycieli.

Wkrótce sanktuarium pod zboczem Scholzenbergu stało się bardzo popularne wśród pątników. Tak bardzo, że niespełna pół wieku później kolejny opat – Dominik Geyer – postawił na jego miejscu jeszcze większą świątynię. Skromne barokowe wyposażenie wnętrza zdołało

²³ Święta Góra, Krucza Skala i Sołtysia.

²⁴ Janiszów.

między innymi ołtarz główny z płaskorzeźbami Czternastu Wspomożycieli i Świętej Rodziny przedstawionej jako Trójca Stworzona. W jego centrum znajdowała się podobizna pasterza, któremu – zgodnie z legendą – w 1446 roku ukazało się Czternastu Wspomożycieli. Stało się to na terenach należących do cystersów w innej części Europy i zapoczątkowało kult Wspomożycieli w zakonie.

Obok kościoła w Ullersdorfie wybudowano też rezydencję opacką. Składały się na nią: barokowy pałac – łączący w sobie funkcje domu wypoczynkowego i rekolekcyjnego – oraz oficyny i zabudowania gospodarcze. Całość tworzyła coś na kształt klasztornego dworu wraz z własnym folwarkiem i razem z kościołem wzniesiona została dookoła prostokątnego dziedzińca. Prowadziła do niego brama wjazdowa z krytym gankiem łączącym piętro pałacu z emporą muzyczną świątyni.

Od 1810 roku rozpoczął się spadek popularności tego miejsca. Wtedy to zaczęto realizować postanowienia dekretu sekularyzacyjnego wydanego przez króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, na mocy którego na całym Śląsku skasowano klasztory i należące do nich majątki. Król decyzję tłumaczył względami oświeceniowymi, jednak w tym wszystkim chodziło przede wszystkim o pieniądze – były niezbędne, aby Prusy mogły spłacić ogromne kontrybucje wojenne nałożone przez Napoleona. Efekt był taki, że miejscowi cystersi stracili cały swój majątek i musieli opuścić Grüssau, Liebau, Schömberg oraz tych kilkadziesiąt wsi i folwarków – jedynie niektórzy zostali, by pełnić funkcję księży diecezjalnych.

Dawna rezydencja opacka w Ullersdorfie była teraz wykorzystywana przez nadleśnictwo, ale sam kościół funkcjonował normalnie. Jedną z największych uroczystości był coroczny odpust św. Krzysztofa odbywający się 25 lipca – a jeśli ten dzień przypadał w tygodniu, to święto i towarzyszący mu jarmark przenoszono na najbliższą niedzielę. Na uroczystość przybywało wielu mieszkańców Liebau, a także dalej położonych miejscowości.

Od wchłonięcia Ullersdorfu i Dittersbachu, Liebau liczyło sobie około pięciu i pół tysiąca mieszkańców i Dewart miał wrażenie, że co piąty z nich postawił sobie za punkt honoru pojawienie się tego dnia na odpuszcie w kościele Czternastu Wspomożycieli.

– Albo i połowa – skonstatował w myślach, widząc mrowie ludzi siedzących na łące wokół świątyni. Czekał, aż skończy się msza, aby móc zabrać się do rzeczy, chociaż zastanawiał się, czy pomysł, aby pakować się w taki tłum, nie był chybiony.

Nie tylko on się niecierpliwił, także dzieciom coraz trudniej było zachować spokój. Kilkoro z nich przepychało się przy schodach tarasu wiodących do kościoła. Taras dobudowano do świątyni w latach 1790-1792 – jego kamienną balustradę zdobiły figury świętych: Barbary i Katarzyny – a pod nim kryła się krypta św. Aleksego.

– Czego te bachory tak się tam kłębią? – spytał Dewart.

– Chcą zajrzeć do krypty – wyjaśnił Walsleben. – Żeby zobaczyć naturalnej wielkości posąg świętego Aleksego leżącego na łożu śmierci. Chciałby pan spojrzeć?

– Łoże śmierci? – Dewart westchnął. – Śmierci to my mamy dostatek. Alfons Dermuth wystarczy nam w zupełności. Lepiej zajmijmy się żywymi.

– Nie wiem, czy cokolwiek zdziałamy w takiej ciżbie.

– Więcej wiary, panie starszy mistrzu! – rzucił bardziej chyba do siebie, niż do żandarma.

Zaraz potem msza się skończyła, z kościoła wylał się tłum ludzi. Odpoczywający na łące też ruszyli z miejsca, część skierowała się do świątyni, aby choć chwilę się w niej pomodlić, reszta zniknęła między straganami z przeróżnymi rzeczami, od mydła do powidła.

Dewart spacerował między ludźmi, myśląc nad tym, jak przyznać się Walslebenowi do porażki. Nagle dostrzegł babę kielbasianą z wielkim wiklinowym koszem. Był on przedzielony na trzy części, w jednej mieściły się ciepłe kielbaski, dwie pozostałe przeznaczone były dla precli z kminkiem oraz rogali z kminkiem. W tej okolicy bowiem jedzenie kielbasek ze zwykłą bułką uważano niemal za profanację.

Kawałek dalej oblegany był kielbaśnik – obnośny sprzedawca kielbasy na gorąco wyposażony w dużo bardziej nowoczesne urządzenie, bo w mały przenośny piecyk – ale Dewart postanowił dokonać zakupu u baby kielbasianej, jakoś po prostu wzbudziła w nim większe zaufanie. Nie bez znaczenia była też dużo mniejsza kolejka.

Jedną porcję kupił dla siebie, drugą dla Walslebena. Przyznanie się do porażki postanowił odroczyć nieco w czasie, zaczął krążyć między ludźmi. Jego uwagę przykuło zbiorowisko ludzi kłębiących się na dziedzińcu dawnej rezydencji opata. Szybko wyszło na jaw, że

fotograf wykonuje tam zdjęcia na tle kościoła. Przed obiektywem stały pary małżeńskie, gromady dzieci, a także całe rodziny. Młodzi, starsi, dystyngowani bardziej albo mniej, roześmiani i poważni.

Dewart odczekał, aż fotograf będzie wolny.

– Możemy chwilę porozmawiać? – zagaił.

Fotograf spojrział na niego przeciągle.

– A kim pan szanowny jest?

Komisarz kryminalny w lot wyczuł powód rezerwy swojego rozmówcy. Przejechał delikatnie palcami po bliźnie na prawym policzku ciągnącej się łukiem od kącika ust aż do skroni.

– Tego się pan przestraszył? – spytał. Zaraz potem z kieszeni marynarki wyjął mosiężną, owalną odznakę policji kryminalnej, starając się na nią nie patrzeć. Odkąd stare blachy wymieniono na nowe, w ich centralnym punkcie widniała swastyka. – Policja kryminalna.

– Co pan chce wiedzieć?

– Tydzień temu też pan tutaj był?

– Byłem.

– Pracował pan?

– Tak – potwierdził fotograf. – Niektórzy przychodzą tydzień przed odpustem, bo wtedy nie ma takich tłumów.

– A widział pan Alfonsa Dermutha? – spytał Dewart prosto z mostu.

– Tego, co się powiesił?

– A jest w Liebau jeszcze drugi mężczyzna o takim imieniu i nazwisku?

– Nie ma.

– Widział go pan, prawda?

- Widziałem.
- Z kim był?
- Nie zwróciłem uwagi... Fotografowałem pana o bardzo słusznej posturze... Miałem problem z ujęciem go w kadr...
- Był z małżonką? – spytał komisarz kryminalny.
- Kto? – Fotograf nie zrozumiał pytania. – Ten grubas?
- Dermuth – wyjaśnił.
- Nie.
- Jest pan pewien?
- Pani Dermuth jest bardzo piękną kobietą. Zauważyłbym, gdyby towarzyszyła mężowi. A dlaczego pan komisarz kryminalny pyta?
- Od zadawania pytań jestem ja – uciął Dewart.
- Dziękuję za rozmowę. Muszę pana jeszcze zobowiązać do utrzymania naszej rozmowy w tajemnicy. Trwa śledztwo i kłapanie jęzorem mogłoby je utrudnić – skłamał gładko. – Rozumie pan?
- Tak jest! – zapewnił solennie.
- Niech pan wraca do pracy. – Dewart pokazał czekającą na fotografa parę w średnim wieku z szóstką dzieci, która pojawiła się na dziedzińcu chwilę wcześniej.
- Wrócił na plac przed tarasem wejściowym, odszukał Walslebena i zaproponował krótki odpoczynek. Żandarmowi dwa razy nie trzeba było powtarzać, od razu zaprowadził Dewarta do zajazdu i pensjonatu „Zum Grüner Wald²⁵” położonego tuż przy głównej szosie łączącej Liebau z Schömbergiem²⁶, na której poboczu

²⁵ Obiekt nie istnieje.

²⁶ Chełmsko Śląskie.

zostawili wcześniej automobil. Oprócz przestronnej sali tanecznej goście mieli też do wyboru ogród z zadaszoną kolumnadą. A jeśli ktoś chciał przenocować, miał do dyspozycji jeden z szesnastu pokoi.

Zarówno w sali, jak i w ogrodzie, wszystkie miejsca były zajęte, policjantom pozostał tylko mało wygodny kamienny murek. Gorzej było za to z wyborem dań, bo z uwagi na obłożenie lokalu, jedyne, co mógł im zaproponować kelner, to zupa gulaszowa.

– Smaczna, ale trochę mało – zauważył Walsleben, kiedy skończył jeść.

– Trochę mało? Ja wciąż jestem wściekle głodny. Jakbym mógł, zjadłbym... – Nagle zamilkł.

– Konia z kopytami? – odpowiedział żandarm.

Dewart milczał. Po marsie na twarzy było widać, że intensywnie myśli.

– Przycisnąć gospodarza, żeby podał coś spod lady? – spytał Walsleben.

W odpowiedzi komisarz kryminalny zerwał się z miejsca i popędził jak burza w kierunku kościoła. Żandarm ruszył za nim.

Kiedy Dewart dotarł do świątyni, poczuł zawód: kiełbaśnika już nie było. Odwrócił się, żeby sprawdzić, gdzie jest Walsleben i właśnie wtedy dostrzegł babę kiełbasianą. Siedziała na łące pod drzewem i czymś się zajadała. Ruchem ręki pokazał żandarmowi, aby trzymał się na dystans, sam podszedł do kobiety.

– Poproszę jedną porcję – powiedział.

Kobieta przerwała konsumpcję, spojrzała na Dewarta.

– Kiedy już wszystkie się skończyły, panie szanowny – rzekła.

– Ani jednej nie ma? – Był autentycznie zawiedziony.
– Kiedy wszyscy pielgrzymi już poszli, wzięłam ostatnią. A pan przecież wcześniej kupił dwie.
– Jedna była dla kolegi... – odparł machinalnie.
A w głowie analizował: miała dobrą pamięć!
– Nawet precli już nie ma. Ostatniego sama zjadłam.
– Pokazała na resztkę pieczywa trzymaną w dłoni.
– Chciałem panią o coś spytać... – zaczął ostrożnie.
Przyjrzała mu się bacznie, zaraz potem powiedziała nerwowo:

– Kiedy ja nic nie wiem, proszę szanownego pana.
– Tydzień temu też tu pani była, prawda?
– Byłam... – odpowiedziała po chwili namysłu.
– Widziała pani Alfonsa Dermutha?
– Kogo?

Dewart był zbyt doświadczony, żeby nie zauważyć nerwowej reakcji rozmówczyni.

– Tego, który kilka dni temu powiesił się na Galgenbergu.

– Kiedy ja nic nie wiem, proszę szanownego pana.
– Wstała z ziemi, zarzuciła kosz na plecy.

Komisarz kryminalny obrzucił ją baczny spojrzeniem. To była prosta kobieta, niewykształcona. Jak znał życie, zrobiła może kilka klas szkoły. Już dawno powinna mówić, a tymczasem czegoś się obawiała. A może po prostu była to tylko zwykła ostrożność?

– Niech się pani nie boi – powiedział przyjaźnie.
– Kiedy ja się nie boję – odparła hardo, maskując zdernerwowanie.

– Chciałem panią spytać o kilka rzeczy.
– Kiedy ja muszę już iść.

Kobieta zrobiła krok do przodu, ale Dewart od razu zastąpił jej drogę

– Tylko parę pytań. – Uśmiechnął się delikatnie.

– Kiedy ja naprawdę nic nie wiem...

Zrozumiał, że obrana przez niego taktyka nie przyniesie pożądanych rezultatów. Trudno, musiał zrobić inaczej.

– Komisarz kryminalny Gustav Dewart – przedstawił się, przybierając bardziej oficjalny ton. – W związku z toczącym się śledztwem zadam pani kilka pytań. – Pokazał odznakę Kripo. – Zrozumiała pani?

Kobieta chwyciła fartuch w dłonie, zaczęła go nerwowo gnieść.

– Zrozumiałam...

– Zacznę od tego, że nasza rozmowa ma charakter poufny, co oznacza, że nie wolno pani o niej nikomu mówić – rzekł ostro. W końcu działał tu nieoficjalnie i dopóki była taka możliwość, lepiej było zbytnio się nie afiszować. – Czy to jest jasne?

– Tak, panie komisarzu kryminalny.

Dewart oglądnięt się za siebie. Na szczęście jedyną osobą, jaką zobaczył, był Walsleben. Cały czas trzymał się na dystans.

– Wystarczy: proszę pana – powiedział łagodnie.

– Dobrze, proszę pana.

– Widziała tu pani Alfonsa Dermutha ostatniej niedzieli?

– Widziałam.

Dewart postanowił zaryzykować.

– Z kim był? – spytał.

– Nie znam tego mężczyzny.

Komisarz kryminalny jej uwierzył. Jeśli dobrze kombinował, Dermuth spotkał się tutaj z kimś sobie równym, a z takimi osoby pokroju baby kielbasianej się nie zadawały.

– Niech go pani opisz – polecił. – Jego fizjonomię – dodał, widząc zdziwione spojrzenie kobiety.

Zaczęła mówić, komisarz kryminalny skrzętnie notował w myślach.

– Ktoś jeszcze był z tymi dwoma?

– Dwie osoby.

– Może je pani opisać?

– Nie widziałam ich.

– To skąd pani wie, że byli we czwórkę?

– Ten, który się powiesił, kupił u mnie kielbaski. Cztery podwójne porcje, po jednej na głowę, jak się wyraził.

– To wszystko – rzucił Dewart na odchodne. – Proszę pamiętać, że nikomu nie wolno pani mówić o naszej rozmowie.

W odpowiedzi kobieta energicznie potaknęła.

*

– Ja go znam! – Walsleben mało z portek nie wyskoczył, wysłuchawszy relacji komisarza kryminalnego w drodze do samochodu. – To Martin Lebe, buchalter. Znana postać finansjery nie tylko w Liebau, ale i w całym powiecie. Uczestniczy w przeróżnych interesach.

– Typ spod ciemnej gwiazdy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Raczej szanowany obywatel – odparł. – Napijemy się czegoś zimnego?

Akurat stali przed „Zum Grüner Wald” i Dewart uznał to za wystarczający znak do tego, aby przyjąć propozycję żandarma.

Skierowali się do kontuaru, komisarz kryminalny zamówił dwa piwa. Zanim zdążył zareagować, Walsleben zaczął wypytywać barmana o Dermutha i buchaltera, ale niczego się nie dowiedział.

– Herr Obermeister, powiem panu dwie rzeczy – rzekł Dewart, kiedy już siedzieli na tym samym kamieniu.

– Pierwsza: barman kłamał.

– Też tak myślę...

– No właśnie, że pan nie myśli! – zdenerwował się.

– Zachowuje się pan jak słoń w składzie porcelany! Nie powinien pan tak bezceremonialnie wypytywać o buchaltera. To wbrew podręcznikowi pracy policjanta kryminalnego.

– Nie studiowałem takiego podręcznika – mruknął Walsleben.

– A może pan powinien? – Dewart ciął słowami jak dobrze naostrzoną brzytwą. – Po to ściągnął pan mnie, żebym to ja zajmował się robotą kryminalną.

Żandarm udał, że oddaje honory.

– Tak jest!

– Niech się pan na mnie nie gniewa... – dodał komisarz kryminalny dużo łagodniejszym tonem. – Mleko już się rozlało...

– Wiemy chociaż, że barman kłamie i że Dermuth z Lebem tu byli.

– Może kłamał, może nie lubi rozmawiać z policją – zauważył Dewart. – Ale stawiałbym na to pierwsze.

– Ja też.

– Wiemy także, że Dermuth był tutaj sam, bez żony – kontynuował. – Tak na marginesie, wiedział pan, że to jest podobno bardzo piękna kobieta?

Walsleben uśmiechnął się nieznacznie, potem odchrząknął.

– A potrzebna nam ta wiedza? – spytał po chwili.

– Informacji nigdy za wiele – stwierdził Dewart. – Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Dermuth spotkał się z tymi czterema mężczyznami w poprzednią niedzielę, a na przykład nie dzisiaj?

– Może nie lubi tłumów, jak pan komisarz kryminalny?

– A pan lubi?

– Mnie tłum nie przeszkadza.

– To nie to... – Dewart myślał na głos. – To popularne miejsce?

– Nie tak bardzo, jak Grüssau, ale ruch jest spory, jak pan sam pewnie zauważył.

– Zatem trzeba przyjąć, że Dermuth albo faktycznie nie lubił wielkiej masy ludzi, albo wybrał poprzednią niedzielę z innego powodu.

– Jakiego?

– Skoro jednym z kompanów był buchalter, to powinniśmy przyjąć, że chodziło o jakiś interes.

– Chwileczkę... – Na twarzy żandarma pojawiła się głęboka bruzda. – Jeśli załatwialiby jakieś ciemne sprawy, to Dermuth nie powinien wspominać o tym spotkaniu księdzu.

– Jak ksiądz pyta, czemu nie było cię w niedzielę na mszy, lepiej nie kłamać, prawda? – Pytanie było retoryczne, komisarz kryminalny nie oczekiwał więc odpowiedzi. – Poza tym, nie musieli przecież kryć się jak szpiedzy. Znaleźli z kompanami jakieś ustronne miejsce, załatwili interesy, jakie mieli do załatwienia

i tyle. Może nawet siedzieli w którymś z pokoi w tym pensjonacie?

– Co dalej?

– Na razie jedyny punkt zaczepienia, jaki mamy, to interesy Dermutha. Buchaltera już namierzyliśmy, zostaje nam jeszcze trzech nieznajomych.

– Namierzymy i aresztujemy całą czwórkę?

– Zwariował pan! – Dewart był bliski wybuchu.

– Jakbyśmy ich lekko przycisnęli, może by coś wyśpiewali?

– Boże! – Wzniósł oczy ku niebu. – Dopiero co panu tłumaczyłem, że policyjna robota to subtelna robota. Subtelna!

Walsleben cmoknął wyraźnie z czegoś niezadowolony.

– Co zatem zrobimy? – spytał.

– Na głodnego źle mi się myśli, a w całym Ullersdorfie nie ma już chyba kawałka czerstwego chleba, pielgrzymi wszystko wymietli – odpowiedział Dewart. – Jedźmy do miasta.

Żandarm zerwał się z kamienia jak oparzony.

– Spokojnie, mamy dużo czasu. – Komisarz kryminalny uśmiechnął się szeroko. – I nikt nam po piętach nie depcze.

Gdyby Dewart wiedział, czym zajmuje się właśnie barman z gospody „Zum Grüner Wald”, jego dobry nastrój ulotniłby się jak kamfora.

Niedziela 26 lipca 1936, Liebau

Właścicielką zajazdu „Grüner Baum” przy Trautenauerstrasse 4²⁷ była Emilie Berndt i kobietą rękę było widać już po przekroczeniu progu: wewnątrz lśniło czystością. Wyposażenie przestronnego pokoju dla gości – z wielkim stołem bilardowym pośrodku – oraz sali jadalnej było skromne i stonowane, bez zbędnych bibelotów czy dziesiątek obrazów i fotografii. W pierwszym pomieszczeniu ściany ozdobiło zaledwie kilka portretów, było też parę wiszących lamp. W drugim znajdował się tylko obraz niewielkiego lasu i to właśnie pod nim – przy ostatnim wolnym z dziesięciu stolików, w rogu sali – usiedli Dewart i Walsleben.

Zamówili specjał kuchni śląskiej: „Schlesische Himmelreich²⁸” – wędzone mięso wieprzowe duszone w jabłkach, gruszkach i śliwkach, przyprawione cynamonem i podane z kluskami gotowanymi w musie owocowym. Potrawa miała specyficzny smak, wynikał on z połączenia wędzonki i słodkiego sosu. Nie każdemu przypadła do gustu, ale Dewartowi smakowała wybornie.

– Tak analizuję efekty naszej wizyty w Ullersdorfie i dochodzę do wniosku, że jedno mnie mocno zastanawia – rzekł komisarz kryminalny, kiedy skończył jeść.

Walsleben wciąż konsumował, ograniczył się zatem do krótkiego potaknięcia.

– Fotografa i babę kielbasianą łączy jeden element – perorował Dewart dalej.

²⁷ Ul. Wojska Polskiego 4.

²⁸ „Śląskie niebo”.

Żandarm cierpliwie słuchał i jednocześnie mazał kluskami po resztkach sosu.

– Nie byli zbyt rozmowni. Nawet wzięwszy pod uwagę, że nagabywał ich nieznajomy – zauważył komisarz kryminalny. – Jakby się czegoś bali.

Starszy mistrz odłożył sztucce na talerz.

– A jak się przedstawiłem, że jestem z policji, mieli przerażenie wymalowane w oczach – tłumaczył Dewart. – Dopiero, kiedy słyszeli, że nie chodzi o nich, tylko o wisielca, napięcie zniknęło.

– Herr Kriminalkommissar, coś panu powiem. – Żandarm nachylił się nad stołem. Poczekał, aż to samo zrobi rozmówca, dopiero wtedy kontynuował, ale już znacznie ciszej. – Pewien kreślarz budowlany z Landeshut trafił do aresztu za szerzenie kłamliwych informacji na temat aparatu państwowego i partyjnego.

– Za co konkretnie?

– Żalił się w gospodzie, że materiały budowlane na nowe inwestycje rządowe są, chociaż wiele z nich jest niepotrzebnych, ale już gospodarstwa rolne mają trudności z kupieniem cementu i stali – wyjaśnił Walsleben. – Murarz z Grüssau siedzi za to, że skrytykował politykę monetarną. Jeśli dobrze pamiętam, to powiedział coś takiego, że rząd Hitlera zadłuża państwo bez opamiętania i że kiedyś drukowane banknoty miały pokrycie w złocie, a teraz już nie.

– Ktoś na niego doniósł?

– Inaczej by go nie posadzili – skwitował krótko. – Naziści wszędzie mają swoich szpiclów. Lepiej mieć oczy i uszy szeroko otwarte. – Rozejrzał się dookoła, bacznie przyglądając twarzom najbliższych gości.

– Tkacza z Vogelsdorfu²⁹ posadzili za to, że niepochlebnie wypowiadał się o audycjach radiowych, zarzucając im działania propagandowe i kłamstwa. Oskarżono go z tej samej nowej ustawy, co pozostających.

Teraz Dewart już rozumiał, w czym rzecz. Ustawa o zwalczaniu ukrytych napaści na instytucje państwowe i NSDAP oraz o ochronie uniformów partyjnych z 20 grudnia 1934 roku wprowadziła zakaz krytyki przywódców, organów i instytucji NSDAP na równi z przywódcami i organami państwa. Jednym słowem, był to kaganiec nie tylko na opozycję parlamentarną i pozaparlamentarną, ale na całe społeczeństwo.

– Bierzemy coś na deser? – spytał Walsleben.

– Deser? – Był myślami zupełnie gdzieś indziej.

– Może pan w takiej chwili myśleć o jedzeniu?

– A o czym mam myśleć? – odparował. – Im nie pomożemy, nawet, gdybyśmy chcieli. Stary już jestem, wiele rzeczy widziałem na świecie i mój rozum mi podpowiada, że może być tylko gorzej. Warto podelektować się, póki można.

– Właściwie jeszcze się nie najadłem...

– Polecam ciasteczka z Bad Warmbrunn³⁰ pieczone na smalcu. Żmudna robota, bo jajka z cukrem trzeba mieszać aż przez godzinę i to cały czas w tym samym kierunku, ale są pyszne.

– Niech pan zamawia.

Chwilę później Walsleben przyniósł koszyczek z ciastkami, zaczęli jeść.

²⁹ Ptaszków.

³⁰ Cieplice Śląskie-Zdrój (obecnie część Jeleniej Góry).

– Palce lizać! – stwierdził Dewart, kończąc ostatnią porcję. – Żarcie ma swoją dobrą stronę, a mianowicie taką, że dobrze wpływa na proces myślowy.

– A co pan wykoncypował?

– A to, że jeśli Dermuth kupował kielbaski, to można przyjąć, iż to on był organizatorem tego spotkania. Kimś w rodzaju gospodarza, choć przyjmował gości nie u siebie.

– Zgadzam się.

Nagle Dewart się zamyślił.

– Dzieci miał? – spytał po chwili.

– Nie.

– Cały czas nie daje mi spokoju myśl, dlaczego, wzorem innych pielgrzymów, nie pojawił się tam z małżonką.

– Przecież był tam w interesach – rzucił Walsleben.

– Sam pan komisarz kryminalny zauważył. Żona by mu tylko przeszkadzała.

– Niech pan pamięta, że najważniejsza jest legenda. Gdyby miał żonę przy sobie, jego wizyta wyglądałaby na dużo bardziej naturalną. Zwrócił pan uwagę na ludzi na odpuszcie? Ilu tam było samotnych mężczyzn w naszym wieku?

– Nie wiem.

– Bo za mało się pan rozglądał! – Dewart triumfował.

– Ja zauważyłem tylko dwóch.

– A widzi pan! Jednak jacyś byli!

– Widziałem tylko mnie i pana – rzekł z satysfakcją.

– Może była chora? Albo głowa ją bolała?

– Co pan jej tak nagle broni? – odparł Dewart, zły, że ktoś burzy mu koncepcję.

– Nikogo nie bronię, tylko przeprowadzam analizę – odciął się momentalnie. – Jak pan komisarz kryminalny.

Dewart już miał skontrolować, kiedy drzwi do sali otworzyły się z hukiem. Zanim jeszcze ktokolwiek się w nich pojawił, przez pomieszczenie przeszedł szmer. Niby wszystko było w porządku, ale jednak coś uległo zmianie.

Komisarz kryminalny nie rozpoznawał tych mężczyzn, ale skonstatował w myślach, że na kaznodziejów nie wyglądają. Znał takich wielu, dla nich obicie komuś mordy, złamanie nogi czy wsadzenie kosa w zębra, to jak dla innych zwykle splunięcie.

Spojrzał na Walslebena i od razu wiedział, że ten ich zna, bo twarz miał marsową, ciało spięte, nawet pięści oparte o stół były zaciśnięte.

– I szlag trafił poufny charakter naszej misji... – szepnął, zastanawiając się, jaki będzie rozwój wypadków.

Długo nie musiał czekać. Mężczyźni chwilę rozglądali się po sali, zaraz potem podeszli do ich stolika.

– SS-Obersturmführer Josef Kammel – przedstawił się pierwszy. – A to mój kolega SS-Untersturmführer Erich Scholz. – Najwyraźniej liczył, że formalna prezentacja podziela na Dewarta.

Ale komisarz kryminalny nie dał niczego po sobie znać, był na to zbyt doświadczony. Wiedział jednak, że na przedstawicieli nowej władzy trzeba uważać. Szczególnie, jeśli nie grzeszą nadmiarem inteligencji, a ci dwaj właśnie na takich wyglądali.

– Komisarz kryminalny Gustav Dewart. – Policjant nie widział powodu, aby zatajać tożsamość. Skoro esesmani się tutaj zjawili, to i tak wiedzieli, kim jest.

– My się znamy, prawda Felix? – Kammel powiedział to do żandarma.

– Tyle razy panów prosiłem, abyście się panowie ze mną nie spoufalali. – Walsleben jeszcze mocniej zacisnął pięści. – Proszę się do mnie zwracać przy użyciu odpowiedniej tytułatury.

– Niedoczekanie twoje – rzucił Scholz.

– Reprezentujemy partię narodowo-socjalistyczną.

– Kammel powiedział to głośno, tak, żeby wszyscy obecni na sali słyszeli.

– Pójdziecie z nami – rzekł Scholz z naciskiem.

Dewart zerknął na Walslebena i aż go zmroziło. Żandarm wyglądał na takiego, który zaraz rzuci się przeciwnikowi do gardła. A przecież z partyjniakami z NSDAP lepiej było nie zadzierać, i to nie tylko z uwagi na ich wielką posturę – w tych swoich brunatnych koszulach opinających umięśnione ciała wyglądali niczym prawdziwe niedźwiedzie.

Komisarz kryminalny położył dłoń na ręce Walslebena, spojrzął mu w oczy i pokręcił przecząco głową. Zastanawiał się przy tym, skąd takie emocje w żandarmie?

– Dokąd niby mamy jechać? – spytał Dewart, starając się, aby ton głosu był maksymalnie uprzejmy.

– Kreisleiter Heinrich Kühn prosi panów do siebie.

– Kammel znów mówił przesadnie głośno. – Obu.

– W trybie natychmiastowym – dodał Scholz. – Automobil już czeka.

Dewart wstał z krzesła, myśląc o tym, że sytuacja uległa zmianie. Jeszcze nie wiedział, czy na plus, ale czuł, że nastąpił jakiś przełom.

Walsleben poszedł w jego ślady, ale ruszał się dużo wolniej. Jakby ktoś włożył mu na plecy worek ziemniaków.

- Tak dla jasności. - Kammel nie krył satysfakcji.
- Kreisleiter nie użył słowa: proszę.